POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień. ***Dnia 31-go maja – 7-go czerwca 1941r.*** **Rok III. Nr. 22-23**

NACZELNY WÓDZ O SWOJEJ PODRÓŻY DO AMERYKI

(Wywiad specjalny "Polski Walczącej")

Pierwsze dni Generała Władysława Sikorskiego w Londynie po powrocie ze Szkocji były bardzo pracowite. W poniedziałek 19 b.m. przyjął Ambasadora Stanów Zjednoczonych P. Drexel Biddle, odbył konferencję z przedstawicielami prasy angielskiej, nazajutrz miał długą rozmowę z Premierem Wielkiej Brytanii Winstonem Churchillem, w środę był przyjęty przez Króla Jerzego VI. Mimo to, mimo wielu innych zajęć Naczelny Wódz, który pierwsze kroki swoje po powrocie z kontynentu amerykańskiego, po spotkaniu z P. Prezydentem R.P. skierował w stronę armii—znalazł kilka chwil, aby naszemu tygodnikowi żołnierskiemu udzielić informacji o wynikach swojej podróży.

Mówimy Naczelnemu Wodzowi o tym, że Jego podróż była śledzona przez wszystkich żołnierzy polskich z głębokim napięciem.

—Bo też—*odpowiada Generał Sikorski*—nie tylko w imieniu Rządu Polskiego, ale w imieniu Armii Polskiej, w imieniu Polski Walczącej występowałem za Oceanem. Zadanie moje polegało przede wszystkim na wytłomaczeniu Polonii, będącej obecnie największą rezerwą narodu, czym jest współczesne Wojsko Polskie. Jakie znaczenie historyczne posiada ta armia, którą tworzymy—złączona dziś węzłami stokroć silniejszymi od węzłów formalnych, bo głęboką dyscypliną duchową i narodową, w której mieści się dopiero dyscyplina wojskowa. Chciałbym, ażeby wszyscy zdawali sobie w pełni sprawę z roli, jaką odgrywają i z charakteru wojska, w którym mają zaszczyt służyć z bronią w ręku.

Podkreślałem stale i jak najdobitniej realny, czynny i nieustanny udział Polski w walce z Hitlerem. Zarówno w Kanadzie, jak w Stanach Zjednoczonych zrozumiano, że w tej walce o przyszłość świata obok Wielkiej Brytanii na pierwszym miejscu stoi Polska i jej Armia.

—Jak Pan Generał ocenia znaczenie deklaracji podpisanej przez siebie z rządem kanadyjskim?

—Znaczenie tej deklaracji i podpisanych umów jest wielkie. Od chwili wybuchu wojny Kanada odnosiła się do spraw polskich z niezwykłą ostrożnością i rezerwą. Nie było to stanowisko alianta, ale państwa neutralnego. Ani parlament, ani premier, ani członkowie jego rządu—żaden z nich nawet nie wymienił imienia Polski. Uprzedzenia do Polski przedwrześniowej były olbrzymie. Zaufanie do Polski przyszłej prawie żadne. Wszystkie nasze propozycje trafiały na trudności nieprzezwyciężalne. Z chwilą podpisania układu sytuacja zmieniła się radykalnie. Wszystkie trudności zniknęły. W rządzie kanadyjskim i w Kanadzie zyskaliśmy szczerego sojusznika, który nie tylko ułatwia nam wszystkie przedsięwzięcia z organizacją wojska polskiego włącznie, ale opowiada się publicznie za Polską—jak to miało miejsce ostatnio w uroczystej deklaracji w dniu 3 maja.

—Czy zechce Pan Generał podać jakieś bliższe szczegóły o organizacji wojska polskiego w Kanadzie?

—Z chwilą dotarcia Gen. Ducha i odpowiedniej ekipy do Kanady—powstaną tam dwa obozy wojskowe, w których rozpocznie się z dawna upragniona przez nas praca. W przyszłym roku przystąpimy na kontynencie amerykańskim do formowania drugiego korpusu wojsk polskich. Oczywiście rozwój sytuacji politycznej, to jest formalne wejście Ameryki do wojny może spowodować wydatne rozszerzenie rozmiarów tej zamierzonej akcji.

—Jaki jest stosunek Polonii Amerykańskiej do sprawy polskiej i sprawy wojska polskiego?

—Polonię naszą w Ameryce tworzą w swej masie ludzie pracy, ludzie niezamożni, daleko biedniejsi od kolonii greckiej na przykład, w której nie brak milionerów. Rządy poprzednie zrobiły wiele, aby ją zrazić do Polski. Mimo to jej więź uczuciowa z krajem macierzystym jest bardzo silna. Dlatego też wiadomość o nagłej klęsce polskiej, o klęsce katastrofalnej, niezrozumiałej, niespodziewanej spowodowała załamanie się Polonii wychowywanej w atmosferze "mocarstwowości"—gwałtowne i głębokie. Z tym załamaniem przyszedł jakiś niepojęty wstyd. Polonia zaczęła patrzeć na ludzi ze swej macierzy, jak na ubogich krewnych. Wizyta moja dała okazję podniesienia autorytetu Polski. Przyjęcie, jakie mi zgotowały czynniki oficjalne, prasa i opinia amerykańska, przyniosły Polakom amerykańskim jak najpełniejsze zadośćuczynienie.

We wrześniu 1939 był obok błędów szlachetny i powszechny zryw całego narodu do wojny z odwiecznym wrogiem, było bezprzykładne poświęcenie i heroizm żołnierza i oddziałów, uznawane nawet przez Niemców bohaterstwo oficera i szeregowego, którzy się bili długo jeszcze po zakończeniu właściwych działań wojennych. Łatwo mi przyszło wytłomaczyć Polakom amerykańskim, że robią źle, gdy wstydzą się starej ojczyzny. A po późniejszym i do obecnej chwili trwającym oporze kraju młodzież polska może każdemu dumnie patrzeć w oczy, bo naród polski reprezentuje najgodniej te ideały ogólno-ludzkie, o które toczy się walka.

—Echa prasowe z za Oceanu dowodzą, że po podróży Pana Generała w postawie uczuciowej Polonii nastąpił przełom.

—Wierzę w to głęboko i wiele na tym buduję. Polonia Amerykańska przedstawia potężną siłę potencjalną, która z wielu powodów nie była wyzyskana dla sprawy polskiej. Sądzę, że mobilizacja tej siły jest w pełnym toku. A wkrótce nastąpi i wprzęgnięcie jej w służbę polską i w służbę wojska polskiego.

Jednym z głównych postulatów, jakie wysuwałem wobec kolonii amerykańskiej było żądanie jedności narodowej, jedności nie mechanicznej, ale istotnej, którą narzuca nam przeżywana chwila dziejowa. Jestem przekonany, że ten zasadniczy postulat będzie osiągnięty. Pozostawiłem w Ameryce część moich towarzyszy podróży, przede wszystkim Wiceprezesa Rady Narodowej P. Mikołajczyka; jest to mąż politycznie wytrawny, zrównoważony i rozumny. Wierzę, że pogłębi on dokonany przełom, że dokona tego, czego z braku czasu sam nie mogłem zrobić, a przede wszystkim odwiedzi te środowiska polskie, do których dotrzeć nie zdołałem.

—Jaki jest stosunek rządu amerykańskiego do naszej walki?

—Prezydent Roosevelt jest całkowicie za nami. Jego stosunek do obchodzących nas bliżej spraw jest również w stu procentach pozytywny i przyjazny. Od Prezydenta Stanów Zjednoczonych uzyskałem przyrzeczenie, że Polska stoi dzisiaj na drugim miejscu po Wielkiej Brytanii, jeżeli idzie o wykonywanie "Lend and lease bill."

—Jaką postawę zajmuje rząd i opinia amerykańska wobec naszych rodaków za Oceanem?

—Rząd zdaje sobie sprawę z tego, jak ogromną rolę wielomilionowy żywioł polski może odegrać, rzucony na szalę wydarzeń jako przednia straż polityki Roosevelta i jaką odgrywa w walce z piątą kolumną, z sabotażem strejkowym i t.d. Mówiłem naszym rodakom głośno, że nie czas na strejki, że Amerykanie muszą pracować szybciej i wydatniej, jeżeli nie chcą dopuścić do zwycięstwa tyranii. Stany Zjednoczone reprezentują przeszło 40 procent światowej produkcji przemysłowej. Od natężenia tej produkcji zależy w dużym stopniu wynik toczącej się wojny.

Grupa izolacjonistów amerykańskich, co raz bardziej zresztą słabnąca, wysuwała argument, że aktywizowanie Polaków amerykańskich może naruszyć jedność Stanów Zjednoczonych. Odpierałem te zarzuty, stwierdzając, że ruch narodowy nie rozbija tej jedności, ale ją wzmacnia. Każdy z Polaków amerykańskich, który uchyla się od świętego obowiązku stawania wraz z Polską w obronie wolności całego świata, a więc i wolności amerykańskiej, tę wolność naraża na zgubę. Te argumenty wywarły bezpośredni efekt wśród Amerykanów w Chicago, które jest twierdzą izolacjonizmu. W konsekwencji od razu na tym terenie lepiej stanęła nie tylko sprawa polska, ale sprawa ogólnosojusznicza.

—Dochodziły nas tu odgłosy wzruszających objawów solidarności innych emigracyj z Polską.

—Rzeczywiście. W całym szeregu miejscowości wychodźstwo Czechosłowacji, Holandii, Grecji, Jugosławii, Norwegii i Belgii demonstrowało publicznie na cześć Polski. Niezwykle doniosłe znaczenie ma fakt, że nawet Litwini zerwali ze swą polityką i oświadczyli, iż powracają do dawnej, tradycyjnej współpracy z nami. Znalazło to wyraz w utworzeniu Komitetu Polsko-Litewskiego w Chicago. Wspomniałem już w wywiadzie dla "Dziennika Żołnierza," że przedstawiciele emigracyj tych narodów sprzymierzonych, które nie mają na ziemi brytyjskiej własnej armii narodowej wstąpią w szeregi naszego wojska.

—Przyjmiemy ich z otwartymi rękami. Stosunek do Polonii Amerykańskiej jest wśród nas także powszechnie gorący i serdeczny.

—Jestem upoważniony do przekazania wojsku polskiemu, wszystkim jego żołnierzom serdecznych, prawdziwie szczerych i bardzo głęboko odczutych pozdrowień zarówno od Polonii Amerykańskiej jak i Kanadyjskiej.

—To pozdrowienie odbije się na pewno stokrotnym echem w sercach wszystkich. A wyniki podróży Pana Generała wzmocnią w nas wolę do przetrwania wszystkiego.

—Los nas wszystkich—*kończy rozmowę Generał Sikorski*—jest ciężki, jest równocześnie i wspaniały. Naród i Armia Polska tworzą dziś najwspanialszą legendę w dziejach. Armia dzięki swej konsekwentnej, twardej linii postępowania stała się tej legendy ucieleśnieniem. Z tego faktu dla każdego żołnierza wynikają poważne i daleko sięgające obowiązki. Każdy z nas musi sobie zdawać sprawę z przeznaczeń, którym służy i być ich godny. W boju, czy pracy codziennej pamiętajmy zawsze, że jesteśmy narzędziem Opatrzności, że walczymy o wyzwolenie swego ukochanego narodu, że bijemy się o nowy świat i o nową Polskę.



Naczelny Wódz, gen. Władysław Sikorski w towarzystwie wice-prezesa Rady Narodowej Stanisława Mikołajczyka w czasie podróży po Ameryce

Podróż gen. Sikorskiego za ocean w zwierciadle prasy amerykańskiej

Prasa Kanady i Stanów Zjednoczonych

Leży przed nami 638 wycinków prasy kanadyjskiej (angielskiej i francuskiej) i z prasy angielskiej Stanów Zjednoczonych. Gdyby chcieć te trzy zeszyty, tę stertę luźnych skrawków przedrukować, wyszedłby z tego spory tom. Wybraliśmy tu niewielką część, która raczej odtwarza rozmaitość, niż ilościowe bogactwo odgłosów prasowych pobytu Generała Sikorskiego na kontynencie amerykańskim.

"Polska nie umarła—pisze La Presse" Montreal, Qu. 4. IV.—*Montreal przyjmowało w tych dniach gen. Sikorskiego premiera rządu polskiego przebywającego obecnie w Londynie po wypadkach września 1939. Jest on jednocześnie Wodzem Naczelnym polskich sił zbrojnych, prowadzących walkę przeciwko Niemcom i pracujących nad uwolnieniem swej ojczyzny. . . .*

. . . Polska nie zadawala się samym pragnieniem wolności. Polska walczy o tę wolność. Major Cazalet oficer łącznikowy między premierem Churchillem i gen. Sikorskim przypomniał nam, że w W. Brytanii znajduje się w tej chwili około 20.000 żołnierzy polskich i około 10.000 na Środkowym Wschodzie. Poza tym istnieje lotnictwo polskie jednocze w tej chwili około 8-10 tysięcy ludzi i w marynarce służy 15 tysięcy Polaków.

. . . Nie. Polska jeszcze nie zginęła, jak to mówi hymn polski a lotnicy polscy, którzy bombardowali Berlin i inne miasta niemieckie poświadczyli, że Niemcy nie zdołali zniszczyć woli oporu narodu polskiego."

* * *

"Głębokie wzruszenie nas ogarnia, gdy czytamy sprawozdanie z przyjęcia, które gen. Sikorski wydał wczoraj, po swoim przyjeździe dla przedstawicieli prasy.

Tragiczna, umęczona Polska . . . . Generał Sikorski naszkicował nam obraz okrucieństwa rzadko spotykanego w ciągu historii ludzkości. Zdawało się nam, że przeniesiono nas ze środka wieku XX w najszczersze średniowiecze. Czy jest jakikolwiek kraj, który do tej pory, w czasie tej wojny, wycierpiał i cierpi tyle, co Polska od 18 miesięcy. Nie ma takiego." ("Le Droit" Ottawa, Ont.)

"Premier polski oświadcza, że trwały pokój jest celem sprzymierzonych.

". . . Nie tylko trzeba nam wygrać wojnę, ale trzeba także wygrać pokój. Pomyłki ostatnich 20 lat nie mogą się powtórzyć. Nie możemy dopuścić do jeszcze jednej takiej wojny jak obecna." ("Daily Star," Windsor, Ont., 4. IV. 41.)

"Leader Post," Regina, Sask. 7.IV.41 podaje wiadomość o podpisaniu umowy, podróży Generała do Washingtonu, gdzie ma konferować z Rooseveltem. Dalej podaje oświadczenie rzecznika konsulatu polskiego, że "*ułożono się co do tego, że korpus polski obejmie także co najmniej dwie kompanie Czechów i Jugosłowian z Kanady. Obozy ćwiczebne powstaną we Windsor i Owen Sound."*

* * *

"Setki Kanadyjczyków polskiego pochodzenia — donosi "Star" Montreal Qu 7.IV.41—*zebrały się na stacji w sobotę wieczór i po raz drugi powitały okrzykami gen. Wł. Sikorskiego, który był w drodze z Ottawy do Washingtonu. Przed odejściem pociągu Premier polski oświadczył naszemu przedstawicielowi, że jego wizyta w Kanadzie przeszła wszelkie jego oczekiwania."*

* * *

"The Telegram" Toronto, Ont. 18. IV. 41 zdaje relację z dwu oświadczeń Naczelnego Wodza:

"Gen. Sikorski powiedział: "podpisanie umowy polsko-kanadyjskiej dla kontynuowania polskiego wysiłku zbrojnego nie tylko przypieczętowuje gorącą przyjaźń naszych dwu krajów, ale także wspólną solidarność w tej wojnie."

Powtarza to samo "Montreal, Qu. Gazette" z 18 IV. 41 i cytuje inny ustęp przemówienia: "*Lojalność sprzymierzonego z nami narodu i rządu brytyjskiego pod przywództwem wielkiego męża stanu Churchilla jest nieskazitelna. Jesteśmy świadkami narodzin solidarności naszych dwu narodów, która utrzyma się nie tylko w czasie wojny, ale i w czasach przyszłego pokoju."*

". . . Postanowiłem umowę z rządem kanadyjskim, na którego czele stoi tak wybitny mąż stanu, jak premier Mackenzie King. Umowa ta dała nam podstawę dla kontynuowania polskiego wysiłku zbrojnego, którego nie zaniechaliśmy, jak dotąd, w ciągu 19 miesięcy."

". . . Mogę otwarcie powiedzieć, że przywódcy narodu amerykańskiego i jego sił zbrojnych wykazali pełne zrozumienie dla roli jaką nasz kraj, nasz naród i nasze wojsko odgrywa ciągle w tej wojnie."

"Moja rozmowa z prez. Rooseveltem potwierdziła moją wiarę, że nie tylko dla St. Zj. ale dla całego świata jest on człowiekiem zesłanym przez Boga."

"Dziennikarzom oświadczył gen. Sikorski—pisze "Citizen" Eve." Ottawa, Ont. 17. IV. 41—*że Polska ma zamiar utrzymać jedno z najbardziej zaszczytnych stanowisk w obozie walczących demokracyj przy pomocy St. Zj. i współpracy z W. Brytanią."*

Paul Reading, w "Spectatorze," Hamilton, Ont. 5.IV.41 drukuje wywiad z Generałem:

"Określa on siebie sam jako liberalnego demokratę i część jego marzeń idzie w kierunku demokratycznej federacji państw centralno-europejskich z Polską i Czechosłowacją jako jej zarodkiem. Taka federacja jest potrzebna, według jego zdania, dla przyszłości, jako korytarz demokratyczny poprzez mapę Europy, aby utrzymać Niemcy i Włochy w szachu i zapewnić trwały i rozsądny pokój. Początek został już zrobiony ze strony Polski i Czechosłowacji. Oczywiście jest to zadanie trudne i jeszcze daleko do jego urzeczywistnienia. . . . Ale silny mąż Polski wierzy, że może ono być dokonane, wierzy, że powinno być dokonane. . . . Po życiu pełnym pracy żołmierskiej, ten człowiek skierował swoje myśli ku stworzeniu nowej epoki, w której miecz można będzie odłożyć."

...*"Oficjalne oświadczenie*—pisze "Sunday Times" Owen Sound, Ont. 5. IV. 41—*że w Owen Sound powstanie obóz ćwiczebny Legii Polskiej w Kanadzie zostało dobrze przyjęte przez ogół mieszkańców i nie należało zresztą oczekiwać innej reakcji. Nie potrzeba nikomu przypominać, jak Polska została potraktowana i jak teraz jest traktowana przez Niemcy. Ich postępowanie przejdzie do historii jako jedna z największych zbrodni, jakiej można dokonać na narodzie. Naród Polski zaskarbił sobie sympatie państw demokratycznych.*

W Kanadzie i St. Zj. są tysiące zdrowych i młodych Polaków, którzy pragną służyć swej ukochanej Polsce w czasie tej wojny, ale będą oni musieli to zrobić poprzez W. Brytanię. Jest to słuszne, że pozwolono im zorganizować własne oddziały, ćwiczące na swój sposób, i potem przejechać za ocean, aby walczyć z ich podstępnym wrogiem.

Owen Sound zostało wybrane jako teren ćwiczebny. . . . Owen Sound przywita ich serdecznie, gdy się tu stawią. Że utrzymają oni taką samą dyscyplinę, jaka panuje wśród oddziałów kanadyjskich rozumie się samo przez się. Będą mogli stwierdzić, że łatwo im będzie porozumieć się z tutejszą ludnością. Oficerowie Legionu Polskiego są to ludzie o dobrym wychowaniu i wysokiej kulturze a obecność ich tutaj będzie jeszcze jednym konkretnym [illegible]

Elie Bois dyrektor "Petit Parisien" z okazji pobytu Sikorskiego we Florydzie u Paderewskiego ogłosił obszerny i piękny artykuł w "Le Droit" (Ottawa). Mówiąc o [illegible] Henry L. Stimson wśród publiczności amerykańskiej stwierdza:

"Powodem tego jest nie tylko nieprzeciętna wartość człowieka, ale także zjednoczenie w jednej osobie tak ważnych funkcyj Premiera i Wodza Naczelnego armii polskiej. Mało który z szefów państwa pozostawił po sobie tak silne wrażenie woli, równowagi i solidności. "Washington Post" pisze o nim: "To żelazna dusza."

Z wyglądu jest duży i barczysty, rysy jego twarzy są pełne powagi. Nawet gdy chwila odpoczynku pozwala mu na odprężenie, czuje się w rozmowie z nim, że jest to człowiek zmierzający zawsze prosto do celu, nie dający się zbić z drogi. Chociaż argumentacja jego wywodzi się z opinii powziętej po głębokim przemyśleniu nie przeszkadza mu to odpowiadać na wszystko szybko i zręcznie, myśli jego są często zaprawione lekką ironią. Nie należy on do kategorii ludzi, którym się wydaje, że po to, aby sobie dodać godności nie wolno się im uśmiechnąć. Jednak pogoda jego uwydatnia się tylko w odpowiednich chwilach. Jest ona raczej pewnego rodzaju ozdobą surowych prawd.

Jeśli chodzi o mnie, to po każdej rozmowie z generałem żałowałem, że zegar zbyt szybko posuwał się na przód i stwierdzałem, że wzbogaciłem swój umysł. Po rozstaniu się z nim pozostaje w pamięci postać człowieka o silnej osobowości, t.zn. człowieka, który ma odwagę powiedzieć równie dobrze "nie," jak i "tak," i który podtrzymuje raz powziętą decyzję tak długo, póki mu się nie dowiedzie pomyłki. . . .

Nie jestem powołany do osądzania jak bardzo należy żałować, że R.P. była pozbawiona w swoim czasie jego cennej służby, ale co mogę stwierdzić bezspornie to fakt, że jest szczęściem dla Polski, iż korzysta ona z jego pracy od czasu bolesnej klęski w październiku 1939. Był on twórcą, organizatorem i inspiratorem niestrudzonym armii polskiej, która wykazała swoją dzielność na ziemi francuskiej i z której udało mu się wspólnie ze swymi współpracownikami uratować dużą część do W. Brytanii. Legion polski to najważniejsza część sił sprzymierzonych i być może, iż niedługo znaczenie jego jeszcze się wzmoże.

Kontakt osobisty gen. Sikorskiego z tysiącami Polaków w Kanadzie i tysiącami Polaków w St. Zj. przyśpieszy stworzenie polskiego korpusu ekspedycyjnego. Chwalebny cel tego korpusu, to przemaszerować pewnego dnia przez pokonane Niemcy i przynieść mieszkańcom Warszawy niepodległość narodową i wolność osobistą. Tak jak to zostało uzgodnione w umowie podpisanej przez premiera Kanady, p. M. King i gen. Sikorskiego w Kanadzie powstanie i zostanie wyćwiczona silna armia polska przy pomocy rządu kanadyjskiego. Armia ta przyłączy się później do jednostek sprzymierzonych, które na ziemi brytyjskiej pełnią straż w obronię przed możliwym najazdem Niemców. Obejmie ona nie tylko Polaków z Kanady, ale także tych, którzy przybędą ze Stanów Zj."

Mówiąc o strukturze przyszłej Europy i współpracy czesko-polskiej pisze Bois: "*Kraje te zobowiązały się, według słów polskiego ministra informacji położyć fundamenty pod silną i zgodną wspólną budowę. Studiują one sposoby i możliwości przyłączenia do tego zarodka federacji także innych narodów z nimi sąsiadujących. Dziewięć miesięcy temu, gdy rozmawiałem z gen. Sikorskim po moim przybyciu z Bordeaux do Londynu na temat tej sprawy, która wydawała mi się wówczas marzeniem powiedział: "Ten projekt nie pozostanie tylko marzeniem, uda nam się go zrealizować. Potrwa to jeszcze, ale nie zaniechamy zadania, które w przyszłości powinno doprowadzić do zbawienia całej centralnej Europy."*

Myślę, że projekt tej przyszłej federacji był przedmiotem owocnych rozmów Prez. Roosevelta i gen. Sikorskiego. To wybrane grono ludzi walki, W. Churchill, F. D. Roosevelt i gen. Sikorski, z których każdy z zajadłością wykonuje pracę Tytana, ma wszelkie dane na to, aby się porozumieć."

* * *

"Gen. Wł. Sikorski—czytamy w "World Telegram" N.Y.C. 16. IV.—*został dzisiaj przywitany w City Hall. Wprowadzając Premiera do Board of Estimate Mr. Morris powiedzial o nim: "Jest on przedstawicielem narodu, który nie wyrzekł się swej wolności, chociaż został pozbawiony swego kraju."*

"Na zebraniu masowym w Carnegie Hall—zdaje relację "New York Times" 17. IV. 41—*pod auspicjami zjednoczonych towarzystw polskich miasta przemawiał Premier, potem zaś gość Willkie. Willkie wyraził specjalne uznanie dla czynnej współpracy i owocnych usług jakie Anglii już oddała polska siła powietrzna. "My tutaj w Ameryce—zakończył—jesteśmy zdecydowani podtrzymywać ramiona tych ludzi, którzy walczą w pierwszych liniach i postaramy się, aby im się udało* [illegible] *tego świata tak, aby Polska mogła na nowo wrócić do życia."*

"New York Herald Tribune," cytuje inne słowa Willkiego: "*Wszędzie gdzie jest jakiś Polak, bije jakieś serce gorące za sprawę wolności."*

"Obecność gen. Wł. Sikorskiego w St. Zj., premiera rządu polskiego na wygnaniu—pisze "New York Post" 17. IV. 41—[illegible]

PM. Friday 18. IV. 41. ogłasza interview w Buckingham Hotel w mieszkaniu Paderewskiego. "*Generał Sikorski, mężczyzna barczysty o szaro-niebieskich oczach i krótkich wąsach (jego wygląd jest tak angielski, że dziwię się, iż nie mówi płynnie po angielsku) ze specjalnym entuzjazmem mówił o polskich siłach lotniczych. . . . Mówił także o polskiej marynarce (kilka krążowników i łodzi podwodnych), która wydostała się z Bałtyku i walczy bez przerwy."*

"Gen. Władysław Sikorski, premier polski i jeden z najwybitniejszych żołnierzy polskich—pisze "Eve. Times-Herald" Wash. D.C. 10.IV.41.—*po raz pierwszy zetknął się dzisiaj bezpośrednio z armią amerykańską przy swej wizycie w Fort George G. Meade. W towarzystwie oficerów ze swego otoczenia i pułkownika S. Winslow z sztabu generalnego został przyjęty przez orkiestrę wojskową, która grała polski hymn narodowy, i eskortę składającą się z czterech tanków. Przyjęto go należącymi mu się według stopnia 19 strzałami.*

* * *

W tym samym piśmie P. Helen Essary charakteryzuje trzech mężów stanu: "*Chcąc szybko naszkicować tych trzech mężczyzn powiem, że: Lord Halifax to filozof, Mr. Roosevelt to pionier a generał Sikorski to mąż walki."*

* * *

A oto prowincjonalne echa uroczystości na cześć generała. "Lemonster" Lemont, Ill. 24.IV. pisze: "*Kilka mieszkańców Lemontu asystowało przy powitaniu gen. Sikorskiego w Soldier's Field Chicago gdzie 75.000 ludzi stawiało opór gwałtownemu wichrowi i deszczowi aby przywitać polskiego bohatera, który jest dowódcą wojsk polskich w Anglii i premierem. Byli oni pod silnym wrażeniem tak słów wypowiedzianych przez generała, jak i okrzyków entuzjazmu, które witały go na każdym kroku."*

* * *

"Ponad 5.000 polskich mieszkańców Detroit i Hamtramck zebrało się na dworcu, aby przywitać gen. Sikorskiego. Kiedy premier wychodził z peronu po oficjalnym przywitaniu przez Mayora Walter Kanyr z Hamtramck, tłum wznosił żywiołowo długie entuzjastyczne okrzyki. Chwilę później przełamał się przez kordon policyjny. Gwardia honorowa weteranów polskich została odepchnięta, podniecone masy przerwały kordon, aby się bardziej zbliżyć do swego bohatera narodowego." ("Free Press," Detroit, Mich. 22.IV.41.)

Antonina Jangowska

Hitler napadając w sposób niecny na Polskę rozpętał burzę, jakiej nie znają dzieje. Siły, które wprzągł w służbę zła są olbrzymie i dla całej ludzkości niezwykle groźne. Początkowo swe triumfy zawdzięczał on nietylko przewadze fizycznej ale i terrorowi, zastosowanemu celowo i metodycznie w Polsce. Naród Polski był pierwszym, który świadom nierówności sił przyjął z nim walkę i przeciwstawił się z bronią w ręku pochodowi nazistowskiego totalizmu, który sięga po hegemonię świata. Dzisiaj ten opór przeciwstawia zdecydowanie i skutecznie brytyjska rodzina narodów.

Kraj z którego przybyłem jest zjednoczony w obronie bezwzględnej sztandaru wolności, dzierżonego tak dzielnie przez Winstona Churchilla.

Wokoło tego sztandaru skupiły się wszystkie ludy miłujące wolność, która jest chlebem codziennym Waszego życia.

Jestem dumny, że my Polacy bierzemy realny i aktywny udział w walce tej. Idąc tym sposobem drogą, jaką wskazał nasz naród, któremu strach jest niezwyczajny,—służymy nie tylko przyszłości własnej, ale i wspólnej sprawie.

Z przemówienia gen. Wł. Sikorskiego na obiedzie wydanym przez Premiera Kanady dnia 4 kwietnia b.r.

Hitler wypowiedział walkę Bogu i pragnie ogniem i żelazem wypalić wiarę z serc polskich. Ale jakżeż się myli w swych rachubach! . . . Włościanin, robotnik, inteligent polski, złączeni w braterskiej jedności nieugięcie stawiają czoła zakusom wroga. Dziś w Polsce niema warstw, niema klas, niema intryg ani gier politycznych—jest jeden zwarty naród, niezłomnie trwający przy sztandarze wolności.

My, rząd jedności Narodowej, razem z Prezydentem Rzeczypospolitej jesteśmy tylko wykonawcami woli twardego narodu, idziemy drogą, którą on nam wskazuje

Armia polska stoi zdala od polityki. Od czasu kiedy żołnierz polski podjął na obczyźnie oręż wytrącony—przejściowo tylko—z rąk narodu, walczy tak, że imię jego dźwięczy donośnie i godnie w całym świecie. Mogę zapewnić, że tak będzie walczył nadal, aż do całkowitego zwycięstwa.

Z przemówienia gen. Wł. Sikorskiego na Zjeździe Homiletycznym w Detroit

Prasa polska

Gdy pisma wszelkich odłamów i kierunków politycznych czy społecznych są jednogłośnie zgodne w pewnej konkretnej sprawie można być pewnym, że i opinia społeczeństwa wszystkich warstw i kierunków jest zgodna w dążeniu do urzeczywistnienia pewnego wspólnego, społecznie niezbędnego celu. Twierdzenie to jest o tyle słuszne, jeśli weźmiemy pod uwagę niezaprzeczony fakt, że nie tylko prasa kształtuje opinię społeczeństwa swymi wypowiedziami i sugestiami, lecz także i odwrotnie, bardziej wykształcona społecznie zbiorowość posiada pewne niezachwiane przekonania, do których musi się nagiąć publicysta dbający o poczytność swego pisma.

Tak więc gdy cała prasa, zgodnym chórem chwali to co zasługuje na rzeczywiste uznanie —oznacza to nie tylko uzewnętrznienie przekonań publicystów poszczególnych dzienników i czasopism, lecz także wyraża przekonanie najszerszego ogółu. Mówi się wówczas o "dobrej prasie" jeśli coś zasługuje na uznanie i pochwałę, ze strony społeczeństwa—tak, jak się mówi o "złej prasie," gdy wszystkie pisma zgodnym chórem coś lub kogoś ganią i krytykują.

To, co czytamy ze szpalt dzienników i czasopism polskich wychodzących w Ameryce pozwala nam stwierdzić niezaprzeczony fakt, że impreza amerykańskiej wyprawy Generała Sikorskiego, jego osoba i cele jego posłannictwa do Polonii amerykańskiej miały naprawdę w całej Ameryce "prasę" dobrą w całym tego słowa znaczeniu.

Już w przededniu przyjazdu Naczelnego Wodza do Ameryki polska prasa poświęca dużo miejsca domysłom na temat, jakie też będą wyniki tej wizyty, z jakim konkretnym programem i propozycjami odwiedzi Generał Sikorski liczną rzeszę amerykańskiej Polonii. Właściwie nie można by tego określać jako "domysły." Są to raczej sugestie, tezy niezachwiane obowiązków naszej Emigracji wobec ojczyzny, o których skrupulatne wykonanie przyjeżdża upomnieć się w imieniu Polski Premier Rządu i Naczelny Wódz armii, mającej walczyć o przyszłą Niepodległość i Chwałę wspólnej wszystkim Polakom ojczyzny.

Z chwilą przyjazdu Generała Sikorskiego cała polska prasa wyraża zgodnie opinię "wielkiego wydarzenia" tej wizyty. Pominiemy tu opisy przyjęć powitalnych w poszczególnych ośrodkach skupiających naszą emigrację w Ameryce. Chcielibyśmy raczej zorientować czytelnika, co myślał wówczas i odczuwał Polak amerykański, gdy na ziemi jego przybranej, drugiej ojczyzny stanął przedstawiciel ojczyzny jego serca— tej ojczyzny, którą musiał opuścić, by szukać chleba na dalekich zamorskich szlakach.

Chicagowski "Dziennik Związkowy" pisze:—

"Z gorącym biciem serca oczekuje Polonia w Chicago Wodza walczącej po dziś dzień Armii Polskiej, który równocześnie jako Premier Rządu Polskiego pozostaje symbolem Polski niepokonanej i niezniszczalnej—Gen. Władysława Sikorskiego.

Witać go będą setki tysięcy Polaków, żyjących tu zdaleka od Ojczyzny, z tym większą radością i entuzjazmem, że stał się on jedyną jeszcze nadzieją w tych strasznych chwilach przygnębienia, bólu i rozterki. W nim nauczyło się widzieć wychodźstwo ideał wolności i prawości, bohaterskość i siłę nieugiętej się przed niczym woli."

Nowo-Yorski "Czas" w odezwie powitalnej skierowanej do Naczelnego Wodza tak określa obowiązki Polonii amerykańskiej wobec ojczyzny:—

"Dzisiaj wszyscy bezwzględnie muszą się podporządkować dobru Narodu, dzisiaj nie wolno pozwalać na przetargi partyjne, dzisiaj jedno tylko istnieć może,—bezwzględne posłuszeństwo i szczera wierna służba Macierzy.

Współpracę naszą do tej szczerej, solidarnej służby dla sprawy Macierzy deklarujemy uroczyście, jako prawi obywatele naszej wielkiej, demokratycznej Ojczyzny, Stanów Zjednoczonych, popierającej gorąco sprawę odzyskania niepodległości Polski, jako kochające dzieci ziemi ojców naszych."

Obowiązek ten wypełniły już i wypełniają nadal wszystkie wychodźstwa polskie prócz Polonii amerykańskiej—twierdzi "Naród Polski":—

"Z uchodźców polskich w Rumunii, na Węgrzech i w Turcji powstała armia polska w Egipcie. Wychodźstwo z Francji wydało ze siebie armię, która choć uległa rozbiciu w chwili upadku Francji, jednak wyłoniła ze siebie tyle jeszcze sił, że na nich oparł się Rząd Polski w Anglii i nową armię polską powołał do życia. Pozostaliśmy tylko my w Ameryce, którzy na idące do nas wezwanie musimy odpowiedzieć tak, jak tego wymaga od nas nie tylko nasza godność, ale i nasza liczbowa potęga, wreszcie nasza tradycja.

Wierzymy, że ogół polski w Ameryce godnie na to wezwanie odpowie."

"Wierzymy—pisze "Dziennik Chicago"—*wierzymy więc święcie, że tak jak po klęsce wrześniowej pierwsze wieści o stworzeniu rządu narodowego nas rozbudziły do łącznego organizowania przyszłych prac zbiorowych Polonii, Twój przyjazd, Panie Generale rozbudzi w nas tę moc zapału i wolę niezłomną ofiary, poświęcenia się, samozaparcia, przez które dążyć będziemy do wykonania tych czynów wiekopomnych ratunku i odrodzenia, których od nas dziś wymaga konieczność dziejowa.*

A witając cię, Najdostojniejszy Wodzu, na gościnnej ziemi Washingtona, Kościuszki i Pułaskiego, sercami najszczerszymi życzymy wszystkim twym poczynaniom —Szczęść Boże!"

"Dziennik dla Wszystkich," wychodzący w Buffalo jedna z najpopularniejszych gazet Polonii Amerykańskiej, na pierwszej stronie swego pisma umieszcza na tle białoczerwonych barw Polski portret Generała Sikorskiego nad zwartym szeregiem maszerującego oddziału wojska. W adresie powitalnym, zatytułowanym "Za Twoim Przewodem—Złączym Się z Narodem" tak wita Generała:

"Przybyłeś tu do nas za morze w wielkiej misji, tak do rządów Kanady i Stanów Zjednoczonych, jak i do Polonii Amerykańskiej. Szczęśliwi jesteśmy, że z rezultatów Twej misji oficjalnej w Kanadzie i u Pana Prezydenta Roosevelt'a i rządu amerykańskiego jesteś w pełni zadowolony. ... ...

Ale nas Polaków najserdeczniej obchodzi sprawa Twej misji, jaka stanęła przed tobą, Panie Generale, w odniesieniu do nas, rzuconych na gościnną ziemię Washington'a, czy tu już nawet na niej zrodzonych. Bowiem pragnęlibyśmy, aby i ona powiodła Ci się w całej pełni, abyś mógł wrócić tam za morze do Pana Prezydenta Raczkiewicza, głowy Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, do Rządu Polskiego i do naszej ukochanej armii, chluby i dumy każdego Polaka i mógł im wszystkim powiedzieć, że Polacy w Stanach Zjednoczonych stanęli murem na Twój apel rzucony w imię Ojczyzny.

Pragnęlibyśmy też, byś mógł to samo donieść krajowi, który tak solidarnie, tak nieugięcie, tak bohatersko broni honoru narodu polskiego, w podziw cały świat wprawiając.

Chcemy wierzyć, że będziesz to mógł uczynić na podstawie tego, coś tu między nami zobaczył i usłyszał.

Równocześnie, stając tutaj przed Tobą, Panie Generale, któryś podźwignął sztandar z Orłem Białym, pragniemy gorąco w imieniu tysięcznych rzesz naszego pisma, najpoczytniejszego dziś polskiego dziennika zapewnić Cię, że możesz na nas liczyć.

Rozumiemy, że dziś każdy, w którego żyłach płynie krew polska, w którego piersiach bije polskie serce, nie może pozostać głuchym na zew Ojczyzny, że chcemy spełnić obowiązki, jakie na nas nakłada chwila dziejowa.

I myślimy, że najlepsze uczucia nasze i naszych czytelników i szerokich mas ludu polskiego na szerokich rozłogach Stanów Zjednoczonych zilustrujemy, kiedy witając Cię wśród nas sercem otwartym, zawołamy do Ciebie Panie Generale:

Prowadź nas.

Za Twoim przewoden złączym się z narodem polskim, za którego nieodrodną uważamy się latorośl."

"Dziennik Polski" widzi w Generale Sikorskim nie tylko Wodza sił zbrojnych i kierownika polityki Rządu polskiego, lecz także Wodza wszystkich Polaków, gdziekolwiek po świecie nie byli by rozproszeni:

"Przybywasz do nas Panie Generale w chwili, kiedy najbardziej potrzebujemy umocnienia ducha, podtrzymania wiary i zestrzelenia myśli i wysiłków w jedno ognisko czynu.

Więc jako Wodza Cię witamy, gotowi na Twój apel stanąć do pracy zgodnej, twórczej, podporządkowanej jednemu rozkazowi i jednemu celowi.

Witamy Cię jako przedstawiciela Polski wiecznie żyjącej, choć dziś umęczonej, skrwawionej i cierpiącej.

Stań się nam tym czynnikiem, który połączy nas wszystkich, pogodzi i poprowadzi do Zwycięstwa.

Tylko Wodza nam trzeba aby czyn z siebie wykrzesać i służbę Ojczyźnie wypełnić. Więc Wodzem nam być musisz, takim nieustępliwym a jednak wyrozumiałym, takim mocnym a sprawiedliwym, surowym a jednak kochającym wszystkich w narodzie.

Takiego Wodza w Tobie dziś witamy i za takim chcemy iść na trudy, na ofiary—aż do Zwycięstwa.

Spotkasz się tam w Washingtonie z Prezydentem Rooseveltem, który takim właśnie Wodzem jest nam tu wszystkim. Prędko przyjść musi między Wami do porozumienia i wpółpracy.

Z najszczerszą sympatią oczekują Cię tam przywódcy Senatu i Izby Reprezentantów. Przyjmą Cię jako obrońcę demokracji i swobód obywatelskich. Idź to nich z sercem otwartym i z tą pewnością, że poza Tobą zgodnym rytmem bije cztery i pół miliona serc polskiego ludu wychodźczego. Idź tam, żeby Cię tak samo zrozumieli i pokochali jak rozumią i kochają naszego Wodza Duchowego, Ignacego Jana Paderewskiego.

W tej misji, którą masz do spełnienia, możesz liczyć na współpracę nas wszystkich, bez różnicy na nasze zapatrywania, przynależności i wierzenia.

Za Wodza cię uważamy!"

Z cytowanych dotychczas urywków głosów prasy Polonii amerykańskiej możemy sobie odtworzyć, jak serdeczna atmosfera towarzyszyła wszelkim poczynaniom Naczelnego Wodza na terenie naszej zamorskiej emigracji. Prasa Polonii amerykańskiej śledzi dalej, w miarę posuwania się podróży i rozwijania się planów Generała Sikorskiego na terenie Kanady i Stanów Zjednoczonych postępy akcji, zmierzającej do utworzenia armii polskiej z ochotników Polaków z Ameryki. Rozważa liczne możliwości, zachęca do spełnienia obywatelskich obowiązków. A zanim jeszcze prasę całego świata obiegła wiadomość o utworzeniu pierwszego obozu wojska polskiego w Kanadzie—notuje niezliczone wypadki odruchów społeczeństwa polskiego w Ameryce, manifestującego na każdym kroku gotowość wstępowania na ochotnika w szeregi nowego polskiego legionu.

Z chwilą ogłoszenia wyników rokowań pomiędzy Rządami polskim i kanadyjskim, po rozmowach z prezydentem Roosevelt'em nie było już wątpliwości, że tak niedawno podjęty czyn tworzenia silnej liczebnie polskiej armii w Kanadzie dojrzewa z nieprawdopodobną szybkością. Zbyt szczupłe łamy naszego pisma nie pozwalają nam cytować wszystkich odgłosów życzliwości i pozytywnego nastawienia Polonii amerykańskiej, towarzyszącego wszelkim poczynaniom Generała Sikorskiego na terenie Kanady i Stanów Zjednoczonych.

Na zakończenie, chcielibyśmy jeszcze tylko przytoczyć list jednego z pierwszych ochotników, który się zgłosił do szeregów nowotworzonego polskiego legionu w Kanadzie, obrazującego jak Polak-emigrant jest świadomy swej doniosłej roli w przyszłej, orężnej odbudowie Polski. List ten przytaczamy za filadelfijskim dziennikiem tamtejszej Polonii — "Patryotą"—do którego wydawcy był adresowany.

"Szanowny Panie!

Pragnę skreślić do Pana kilka pierwszych słów z Ziemi Kanadyjskiej.

Cieszę się i jestem dumny z tego, że znowu wdzieję mundur żołnierski, że do ręki wezmę karabin, że w pierś mą wleję wielką ideę żołnierską. Cieszę się, iż ja i moi podobni otrzymam rozkaz: "Na przód!"

Pójdziemy! Pełni miłości ku Polsce, która jest Matką każdego Polaka, ruszymy w bój.

Pójdziemy! Ze sobą będziemy nieść miłość i zemstę. Miłość dla tych, którzy w krwi i pocie wołają o naszą pomoc.

My ich oswobodzimy! Zerwiemy ich kajdany! Klatka niewoli pęknie, a Polsce i Jej dzieciom damy Wolność.

U mogiły naszych braci poległych zaczerpniemy ducha i męstwa.

Polska musi być z nas dumna! Mieczem swoim i krwią wymierzymy granice godne polskiej duszy i Polskiego Narodu!

Cieszę się, iż będę walczył o tę, która nie zginęła! . . .

Chociaż mój adres będzie wkrótce zmienny, proszę jednak o umieszczenie go w swej gazecie, może ktoś będzie pragnął jakich informacyj o Armii Polskiej, więc udzielę.

Jeszcze raz dziękuję Polonii Filadelfijskiej za serce i gościnność. Żołnierz Polski nie umie i nie może zapomnieć wyświadczonej mu gościnności.

Kończąc ten pierwszy, żołnierski list do Pana, zasyłam Panu, Jego Rodzinie i Czytelnikom pisma "Patryoty" miłe pozdrowienie z Ziemi Kanadyjskiej i przyjacielski uścisk dłoni!

Jan Trzciński

J.T., 1384 Parent St., Windsor, Ontario, Canada.

Słowa to proste, niewyszukany żołnierski styl—lecz list ten pełen treści obrazuje nam ideały i zapał czynu przyszłych żołnierzy Armii Polskiej w Kanadzie.

Bolesław K. Piekarski



Gen. Sikorski wśród Polaków kanadyjskich

Wojna dzisiejsza nie jest wojną o Polskę, o Czecho-Słowację, Belgię, czy którykolwiek z podbitych przez Adolfa Hitlera krajów, ale jest wojną o cywilizację chrześcijańską, o wolność, sprawiedliwość i postęp ludzkości. Naród nasz był pierwszym, który z bronią w ręku przeciwstawił się idącemu na podbój świata totalizmowi. Będzie też pierwszy, który zbierać będzie plony tej ciężkiej i krawej decyzji.

Jak wierzę w Boga, tak wierzę w tryumf cywilizacji chrześcijańskiej. Wierzę niezłomnie, że nasze będzie zwycięstwo i dla tego zwycięstwa pracując, wzywam Was do solidarnego poparcia wysiłków Rządu.

Z mowy gen. Wł. Sikorskiego na wielkim zebraniu polskim na Polu Żołnierza w Chicago dnia 22 kwietnia b.r.

Mamy przed sobą cel wspólny, cel wielki—Stoimy w pierwszej linii wspólnego okopu. Walczymy razem z narodami, które nieugięcie postanowiły wytrwać do zwycięskiego końca, które postanowiły stoczyć bój ostateczny w obronie najświętszych dóbr naszej cywilizacji.

Bijemy się naprawdę o wszystko, mając przeciw sobie największą w historii świata i najpotężniejszymi środkami przedsięwziętą próbę zamienienia wolnych ludów w skoszarowane mrowisko, o obozy niewolników, a świat cały w jedno wielkie i ponure więzienie totalistyczne.

Podnoszę najuroczyściej wobec świata całego protest przeciw szalejącemu w Polsce barbarzyństwu, niestosowanym w innych krajach pod okupacją niemiecką.

Niemcy miały kiedyś dwa oblicza i dwie dusze. Lecz dzisiaj zwyciężyła i zapanowała w Niemczech prawie niepodzielnie ta druga dusza, sataniczna i zbrodnicza, którą symbolizuje Adolf Hitler.—Musi on być zniszczony.—Musi być zniszczony, ażeby powstał nowy ład—ład różny od starego,—bo zbudowany na mocnych podstawach demokracji, sprawiedliwości, postępu i wolności.

Z audycji w radio Toronto.

Niezmiernie głębokie wrażenie wyniosłem z mego zetknięcia się z Polonią amerykańską. Przemawiając do zebranych wokoło mnie, w Waszyngtonie, reprezentantów wszystkich organizacyj polskich w Stanach, powiedziałem, iż spotkanie z nimi jest historyczną chwilą w moim życiu. Tak czułem i czuję. Dla tego słowa te dziś powtarzam.

Stwierdziłem, że wierna Polsce amerykańska Polonia ma dziś serca swe i myśli w Polsce, tam, na ziemi swych Ojców, a uczuciom swym dać jest gotowa wyraz—w czynie.

Z audycji radiowej w Columbia Broadcasting System w Nowym Yorku.

Naczelny Wódz i Premier Polski w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych



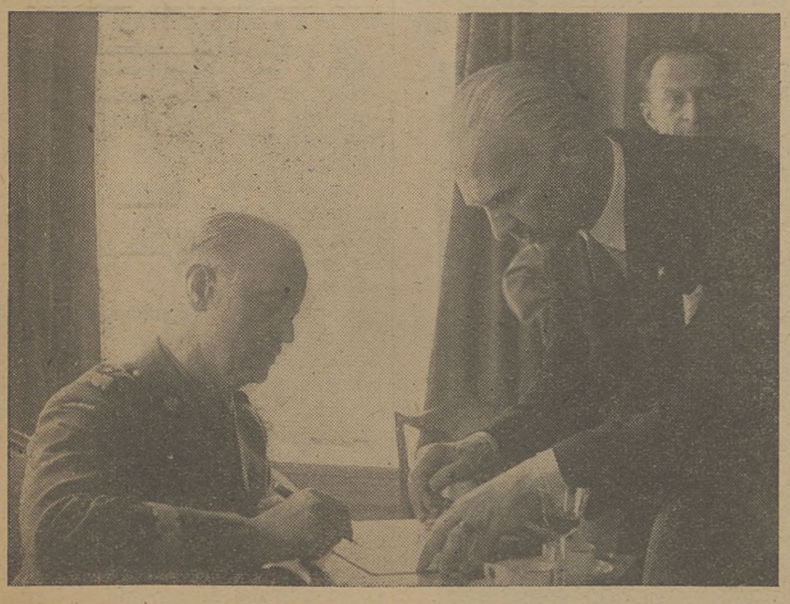
Na dworcu w Ottawie (w pierwszym rzędzie: generał Sikorski, senator Dandurand, W. Komisarz MacDonald, Premier Kanady King)

Od osoby z najbliższego otoczenia Naczelnego Wodza otrzymaliśmy szczegóły, które pozwoliły odtworzyć w dość dokładnym zarysie sześciotygodniową podróż Generała do Ameryki.

Już sam wyjazd—24-go marca —nastąpił wśród okoliczności głęboko wzruszających i można by powiedzieć—symbolicznych. Gdy przybyliśmy do przystani, z której mieliśmy wyruszyć w podróż transatlantycką, w podróż wpoprzek Oceanu i olbrzymiego oceanicznego frontu, przywitały nas bandery Rzeczypospolitej; powiewające na dwu kontrtorpedowcach polskich. Gdy wstąpiliśmy na pokład pancernika, który miał nas przewieść do brzegów Nowego Świata rozbrzmiały znajome dźwięki naszego hymnu, a Generała przywitała kompania honorowa. Długo jeszcze, właściwie ciągle, otaczała nas, rzucała się w oczy symbolika i rzeczywistość nieprzerwanej ciągłości państwa polskiego, jego walczącej siły zbrojnej, jego powagi, jego mocy przyciągającej, uświetnionej, opromienionej nimbem niecodziennym.

Przed wyruszeniem dowódca pancernika zaprosił na kolację komendantów naszych jednostek bojowych. I tak przez kilka godzin byliśmy przecież pośrodku tej walki, jaką nasza marynarka prowadzi od pierwszego dnia wojny. Gdy ruszyliśmy—gęsta, przyjazna mgła osłaniała ten odjazd—razem z nami płynął jeden nasz kontrtorpedowiec wchodzący w skład osłony dużego konwoju, z którym razem odbyliśmy część drogi. Towarzyszył nam aż do połowy Atlantyku. Ta służba była źródłem nie tylko—jego, ale i naszej dumy. Dowódcy polskiego kontrtorpedowca przypadło w udziele dowodzenie całym diwizjonem tych jednostek osłaniających z tej przyczyny, że pancernik wiózł na swoim pokładzie Naczelnego Wodza i Premiera Polski. W jego obecności kapitan okrętu brytyjskiego wskazując na manewry naszego okrętu stwierdził: "Doskonale daje sobie radę. Nieprawdaż Panie Generale!" . . .

Ośmiodniowa podróż na pancerniku przeszła bez przygód, raczej monotonnie i pracowicie. Sygnalizowane w oddali łodzie podwodne nie poważyły się nas atakować. Generał dzielił czas między krótkie spacery po okręcie-fortecy, i intensywną pracę i długie rozmowy z P. Malcolmem Macdonaldem, synem przywódcy Labourzystów i wieloletniego premiera, ministrem brytyjskim od jedenastu lat, który jechał tym samym okrętem, aby objąć stanowisko Wysokiego Komisarza Wielkiej Brytanii przy rządzie Dominium Kanady. To nieoczekiwane spotkanie, bliskie i ścisłe porozumienie, jakie zawiązało się między naszym Wodzem a Wysokim Komisarzem miało później odegrać znaczną rolę w pierwszym—kanadyjskim—etapie naszej podróży.



Generał Sikorski podpisuje deklarację polsko-kanadyjską (obok konsul generalny Podoski)

Pierwotnie miała ona mieć marszrutę odwróconą: Stany Zjednoczone—Kanada. W skutek zbiegu okoliczności zewnętrznych zajechaliśmy wprzód do Kanady, co się okazało bardzo sprzyjające zadaniu, jakie sobie Generał na tym terenie wytyczył. Do Halifaxu—głównego portu Kanady — przybiliśmy 1-go kwietnia w honorowej eskorcie kanadyjskich kontrtorpedowców, przy akompaniamencie przyjaznego brzęczenia kilku samolotów. Tu powtórzyła się symbolika wyjazdu z Wielkiej Brytanii. U brzegu Kanady przywitała nas znowu bandera polska, tym razem trzepocząca nad kominami jednego z naszych statków handlowych. Popołudniu Naczelny Wódz wszedł na jego pokład i mówił do marynarzy, którzy go przyjmowali ze zrozumiałym wzruszeniem. Musiał to czuć Generał, musieli to czuć oni sami, bo czuliśmy to my wszyscy, że wyjechawszy z gościnnej ziemi brytyjskiej, że przejechawszy Ocean objęty wojną, jesteśmy—w Polsce. To uczucie bliskości, realności, dotykalności Polski miało nas nie opuszczać aż do końca tej podróży. Mowa, którą wygłosił Generał wzbudziła entuzjazm wśród załogi na statku.

2-go kwietnia wyjechaliśmy pociągiem do Ottawy. Po drodze Generał zatrzymał się dwie godziny w Montrealu, gdzie po raz pierwszy zetknął się z Polakami zamorskimi. W tej miejscowości wyszło na Jego przywitanie z górą tysiąc ludzi. To pierwsze spotkanie było gorące. Szczególnie wzruszające wrażenie robiła kompania honorowa sformowana z weteranów polskich. Niezwykłą i miłą wymowę posiadała obecność Czechosłowaków.

Na dworcu w Ottawie—stolicy Kanady—naszego Naczelnego Wodza przywitał osobiście premier Mackenzie King z całym gabinetem, cały korpus dyplomatyczny, 84 senatorów i deputowanych i wszystkie wyższe władze wojskowe brytyjskie i kanadyjskie. Generał i oficerowie Jego świty byli w mundurach polskich. Wzbudziły one szczególne zainteresowanie i stanowiły przedmiot licznych opisów w prasie, zwłaszcza zaś czapki "polancerki" (jak się je tam nazywa), o których jeden z dzienników utrzymywał, że "dodają kolorytu mundurom."

W Ottawie zabawiliśmy dwa i pół dnia. Były to dni gęsto upchane, pracowite i—płodne. W piątek, 4-go kwietnia Premier Polski złożył wizytę Premierowi Kanady, odbył długie rozmowy z ministrem obrony krajowej pułk. J. L. Ralstonem, oraz ministrami lotnictwa, marynarki i finansów. W czasie tych rozmów dojrzała i skonkretyzowała się sprawa wspólnej deklaracji polsko-kanadyjskiej, oraz sprawa tworzenia wojska polskiego w Kanadzie.

Gazety, zwłaszcza polskie—n.p. "Dziennik Polski" z 5 kwietnia —zaczęły masowo obok notatek i sprawozdań o pobycie Generała pomieszczać ogłoszenia: "Stacja Zborna Wojska Polskiego otwarta w Windsor." Deklaracja wzajemnej pomocy i przyjaźni odbiła się rozległym echem w świecie. Zwłaszcza dla ludzi, którzy znają politykę zagraniczną Kanady, jej niechęć do aliansów, ograniczanie się do traktatów handlowych, ta deklaracja, właściwie przygotowująca formalny sojusz, jest aktem o dużej wymowie i dużym znaczeniu moralnym i rzeczowym.

Wieczorem tego dnia Mackenzie King wydał na cześć polskiego gościa obiad w Country Club. Gospodarz kraju i tego przyjęcia przemawiał zwięźle i bardzo serdecznie. Stwierdził, że od czasu wizyty Króla Jerzego nikt nie był w Kanadzie tak gorąco przyjmowany, jak Premier Polski, a w tym, że przy jednym stole z członkami rządu zasiedli przedstawiciele opozycji wizyta Jego jest zupełnie bez odpowiednika. Z tego zebrania jeszcze dwa momenty godne są wspomnienia. Mowa senatora Dandurand, który przypomniał Generałowi dwa spotkania: jedno w Warszawie w 1925 roku, drugie w 1932 roku u prezydenta Francji Poincaré i podkreślił ciągłość, konsekwencję nieprzerwaną postawy dzisiejszego Naczelnego Wodza jako męża stanu i polityka. I inny moment, to mowa Wysokiego Komisarza Macdonalda, który powiedział: "Anglia cierpi wiele, ponosi ciężkie ofiary, lecz te cierpienia i te ofiary nikną jak cień wobec tego, co Polska znosi nieprzerwanie od chwili wybuchu wojny." Towarzysz podróży Generała stał się Jego przyjacielem i przyjacielem Polski co znalazło potwierdzenie publiczne i oficjalne. Mowa Gen. Sikorskiego wygłoszona na tym obiedzie—była przemówieniem światowego męża stanu i wywarła głębokie wrażenie na zebranych.

Nazajutrz, w sobotę, 5-go kwetnia odbyło się przyjęcie w konsulacie generalnym. Przemawiał na nim Generał i Prezes Mikołajczyk.

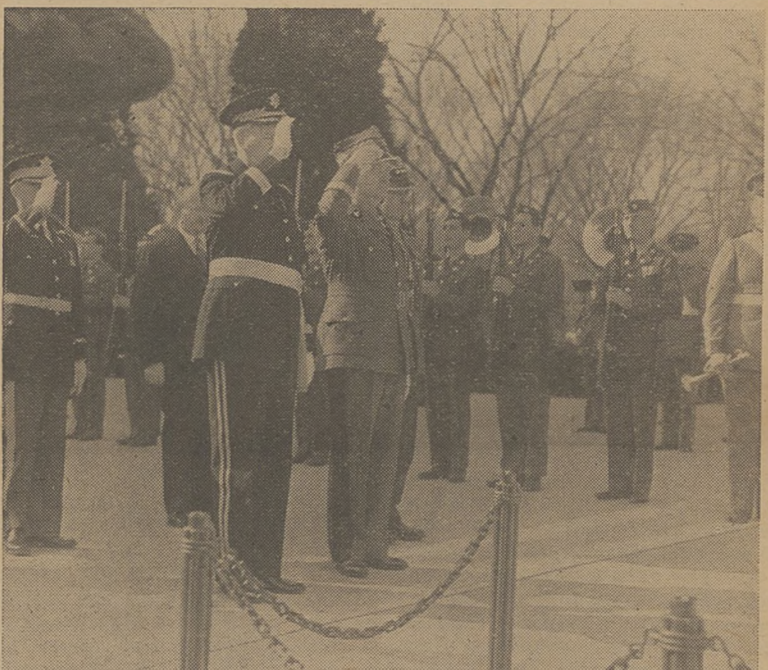
6-go kwietnia Premier Polski przyjmował Premiera Kanadyjskiego śniadaniem. Na tym zebraniu Mackenzie King ujawnił po raz pierwszy fakt porozumienia polsko-kanadyjskiego, które znalazło wyraz we wspólnej deklaracji. Deklaracja ta odczytana po śniadaniu była niezwykłą i radosną dla aliantów niespodzianką. Wygłoszone wzajemnie przemówienia podkreśliły świeżą ale głęboką przyjaźń polsko-kanadyjską. Tego samego dnia podejmował nas miejscowy klub polsko-kanadyjski i o piątej popołudniu nastąpił wyjazd do Stanów Zjednoczonych. Na dworcu żegnał Generała premier Kanady i Wysoki Komisarz Wielkiej Brytanii, i większość korpusu dyplomatycznego, których się już nie spodziewano, bo oficjalne pożegnanie odbyło się przedtem. Był to gest specjalnej kurtuazji i serdeczności.

W drodze do Washingtonu "pociągiem ekspresowym kolei Pennsylvania"—Generał zatrzymał się o godzinie ósmej rano na dwadzieścia minut w Nowym Yorku. "Miał na sobie—opisywały detalicznie dzienniki amerykańskie—ubranie szarego koloru, miękką koszulę koloru niebieskiego i krawat w paski. Inne pismo określiło to cywilne ubranie Naczelnego Wodza jako "granatowy garnitur byznesowy" . . . Ale nie tylko na te szczegóły zwracano uwagę. Starano się Generałowi na wszystkie sposoby okazać serce, podziw i solidarność. Trzy dziewczynki w strojach krakowskich wręczyły mu kwiaty, zebrani wznosili okrzyki. Temperatura przywitania stała się jeszcze gorętsza, gdy Generał przemówił i kazał adiutantowi przeczytać głośno deklarację polsko-kanadyjską, podpisaną poprzedniego dnia.

Przyjazd do Washingtonu, stolicy Stanów Zjednoczonych odbył się tego dnia w południe (Palmową Niedziela, 6-go kwietnia). Na spotkanie Generała przybyli szef protokułu T. Summerlin, imieniem Departmentu Wojny płk. Winslow, ambasador Wielkiej Brytanii Lord Halifax, poseł czechosłowacki Hurban, polscy "kongresmani" (członkowie kongresu), przestawiciele organizacji. Ambasador Polski, Ciechanowski, towarzyszył Generałowi od granicy Stanów Zjednoczonych.

Nazajutrz rozmawiał Generał z Sumner Wellesem, który, równo rok temu—w czasie swojej podróży po Europie—zaprosił Naczelnego Wodza w imieniu Prezydenta Roosevelta do Stanów Zjednoczonych. Zaproszenie powtórzone przez Prezydenta było u źrodła wizyty tegorocznej; w rozmowie swej omówił Generał Sikorski wszystkie zagadnienia, które miał poruszyć na drugi dzień z Prezydentem Rooseveltem.

Dzień wtorkowy (8-go) był wypełniony ważnymi spotkaniami. Najpierw Generał odbył konferencję z Sekretarzem Stanu Cordell Hullem, w południe był przyjęty przez Prezydenta Stanów Roosevelta. Towarzyszyli mu ambasador Ciechanowski i Prezes Mikołajczyk. Po tej wizycie—pierwszej w historii Polski i Stanów—Generał powiedział do prasy znamienne słowa: "Pogłębiłem w sobie silną wiarę, że z obecnej zawieruchy powstanie wolna, niepodległa Polska, w pełni demokratyczna i świadoma swojej misji w świecie."



Naczelny Wódz na grobie Nieznanego Żołnierza w Arlington

Tego dnia popołudniu Przedstawiciel Polski Walczącej złożył wieniec na grobie Nieznanego Żołnierza Ameryki w Arlington, przy huku witających go dział. Przywódca Polski Demokratycznej odwiedził dom i grób wojownika demokracji amerykańskiej Washingtona.

W środę Generał złożył wizytę w Departamencie Wojny i przeprowadził rozmowy z sekretarzem wojny Stimsonem i Szefem Sztabu gen. Marshallem. Nawiasem mówiąc, dowiedzieliśmy się przy okazji, że wyjątki z dzieł Generała "Nad Wisłą i Wkrą" oraz "La guerre moderne" były tłomaczone dla użytku amerykańskiego sztabu generalnego. W południe ambasador Wielkiej Brytanii wydał śniadanie na cześć Wodza sojuszniczej Polski. Po południu tego dnia w ambasadzie polskiej Naczelny Wódz zetknął się i obradował z przeszło 150 przedstawicielami głównych organizacyj i prasy polskiej w Ameryce.

W Wielki Czwartek (9-go kwietnia) Generał odwiedził Fort Meade, gdzie towarzyszyła mu eskorta honorowa z czterech czołgów i oddano na jego cześć 19 strzałów armatnich. Inspekcjonował również szczegółowo 29-tą dywizję amerykańską—podejmowany wszędzie przez armię amerykańską niezwykle gościnnie i ostentacyjnie. Potem przyglądał się fabrykacji samolotów w fabryce Glen Martin w Baltimore.

Wieczorem tego dnia Naczelny Wódz Armii Polskiej wyjechał na Florydę, do Palm Beach, aby odwiedzić Ignacego Paderewskiego "Wodza duchowego Polonii," jak go nazywają Polacy w Ameryce. U Paderewskiego spędził Generał wraz z Prezesem Mikołajczykim Święta Wielkiej Nocy. Najpewniej tam, w domu największego żyjącego Polaka, na ziemi, na której mieszka pięć milionów ludzi krwi polskiej —czuł się "bliżej Polski i bliżej zwycięstwa," jak mu tego przez Ocean życzyła w świątecznym numerze "Polska Walcząca." Ta świąteczna gościna zeszła Generałowi na wytężonej pracy, na redagowniu licznych odpowierdzi na stosy depesz i listów, na rozmowach o naszej sprawie. Zapewne echa tych rozmów zabrzmiały w przemówieniu, które Paderewski wygłosił z Palm Beach w Wielką Niedzielę Wielkanocną w ramach zbiorowej audycji: "*We shall live again,*" w której wzięli udział przedstawiciele siedmiu państw sprzymierzonych.

We wtorek poświąteczny (15-go kwietnia) odwiedził Generał miasto Newark w stanie New Jersey (20 mil od Nowego Yorku). Kolonia tego stanu przywitała go szczególnie gorąco, jak o tym świadczy następująca odezwa komitetu przyjęcia:

"Niechaj więc kupcy i przemysłowcy polscy ogłoszą z tej okazji półdniowe święto narodowe.

"Niechaj młodzież i starsi zjawią się w tysiącznych masach przed stacją, by w osobie Wielkiego Generała Polski uczcić Polskę cierpiącą i walczącą.

"Przyjdźcie przybrani w mundury i kostiumy narodowe, trzymajcie wysoko w górze polskie i amerykańskie chorągiewki, dajcie dowód waszego patriotyzmu i waszej siły narodowej."

I rzeczywiście przybyli. Wzruszenie mas aż do łez po mowie Generała świadczyło, że nie przybyli nadarmo.

Z Newark samochodem przez Pulaski Skyway (jest to wiadukt ku czci bobatera polskiego i amerykańskiego), udał się Generał Sikorski do Nowego Yorku, gdzie stanął w Hotelu Buckimgham. Jeszcze tego samego dnia Pani Ogden Reid, właścicielka *New York Herald Tribune* wydała na cześć polskiego gościa obiad. To przyjęcie, jak i drugie wydane przez właściciela innego olbrzymiego dziennika *New York Times* przyniosło wyniki prasowe bardzo doniosłe dla naszej sprawy. Reprezentowane na nich były najbardziej wpływowe grupy polityczne i prawie cały świat finansowy Nowego Yorku. Na wszystkich tych przyjęciach wygłosił Generał przemówienia.

W środę z inicjatywy Komitetu Obywatelskiego w Nowym Yorku odbyło się w hotelu Commodore wielkie zebranie dla Amerykanów i Polaków z niezwykle gorącymi, a wzajemnymi mowami. Potem odbył się wiec w Carnegie Hall, na którym zabrał głos nasz Generał, na którym przemawiał w bardzo gorących dla Polski słowach kandydat demokratyczny w wyborach prezydenckich, zwolennik udziału Ameryki w wojnie Wendell Willkie.

Nazajutrz, 17-go, odbył się bankiet z politycznego punktu widzenia nie mniej ważny, bo wydany przez "Council for Foreign Relations." Występ oratorski Generała nosił na tym zebraniu jak i na innych czysto amerykańskich piętno ogólnopolityczne. Poza tym oba te dni wypełniły ciasno wizyty oficjalne: u zastępcy burmistrza Nowego Yorku, u arcybiskupa katolickiego Spelmana, przyjęcia w konsulacie, wizytacje domów polskich, kościołów, szkół i t.d. Gdyby chcieć opowiedzieć to wszystko szczegółowo, nie starczyło by miejsca w kilku numerach "Polski Walczącej." Wszędzie przemówienia, których czasami musiał Generał wygłosić aż 12 w jednym dniu. Warto może zanotować jako szczegół anegdotyczny, że w Nowym Yorku rozpętała się moda na rogatywki polskie jako przybranie głowy dla pań . . . widziałem w gazetach nawet ogłoszenia lansujące tę modę, świadczące o popularności naszej wizyty i o powszechnym nią zainteresowaniu.

18-go, w czwartek, przyjechaliśmy do Chicago—do miasta . . . polskiego, największego po Warszawie i Łodzi, w którym mieszka 650.000 Polaków. W przededniu przyjazdu chicagowski "Dziennik Związkowy" pisał: "Polonia w Chicago z sercem bijącym wyczekuje na przyjazd Generała Władysława Sikorskiego." Rzeczywiście na stacji Union zgromadziło się 15 tysięcy— ludzi, manifestujących entuzjastycznie na cześć Polski, Armii i jej Wodza. Wśród obecnych był też burmistrz miasta, który Generałowi wręczył olbrzymi, srebrny klucz. To samo zrobiło później i Toronto. W ten sposób Naczelny Wódz jest w obecnej chwili obywatelem honorowym pięciu miast: Tarnopola, Gródka Jagiellońskiego, Brzeżan, Chicago i Toronto . . .

Nazajutrz odbyło się przyjęcie na 150 osób zorganizowane przez Amerykanów. Było na nim sporo izolacjonistów, bo Chicago jest ich głównym ośrodkiem. Obok Generała siedziała pewna pani, która kłóciła się bardzo zaciekle z towarzyszem stołu o sprawę udziału Ameryki w wojnie. Podobno w niedługi czas potem zwołała przyjaciół oświadczając, że musi poddać swoje poglądy całkowitej rewizji.

Na pierwszym zebraniu polskim obecni śpiewali trawestację Mazurka Dąbrowskiego: "Marsz, marsz Sikorski z ziemi szkockiej do Polski." Generał się na to żachnął, ale mu wyjaśniono, że tak się tu śpiewa ten refren już od kilku miesięcy.

Niedziela (20-go kwietnia) stanowiła najwyższe natężenie manifestacji polskich w związku z pobytem Generała Sikorskiego na terenie Stanów. Rano w odświętnie ozdobionym kościele polskim św. Jana Kantego odbyło się uroczyste nabożeństwo. O godzinie 2.30 na "Polu Żołnierza" (Soldiers Fields) odbył się gigantyczny meeting polski, zorganizowany przez całą Polonię, na który, mimo deszczu i przeraźliwego zimna, przybyło 75.000 ludzi. Uroczystość zaczęła się od defilady, w której szli weterani w mundurach, młodzież, delegacje towarzystw w strojach narodowych, Sokoli i t.d. Ciągnął się ten pochód nieopisanej malowniczości bez końca. Na tym zebraniu Naczelny Wódz wygłosił długie, zasadnicze przemówienie. Przemawiali przedstawiciele społeczeństwa amerykańskiego, Prezes Rady Polonii Świetlik, wiceprezes Rady Narodowej Mikołajczyk, odczytano życzenia gorące Paderewskiego, liczne depesze oraz deklarację sympatii i uznania uchwaloną przez legislaturę stanu Illinois. "Trudno było auto z generałem Sikorskim — pisze "Dziennik Związkowy" — wyprowadzić z "Pola Żołnierza," tak się bardzo koło tegoż cisnęli rodacy i rodaczki. . . ."



W gościnie świątecznej na Florydzie (siedzą: gen. Sikorski, Ig. Paderewski, prez. Mikołajczyk, stoi min. Strakacz)

Dni chicagowskie miały jeszcze dwa ważne momenty. Jeden to zebranie przywódców Polonii, na którym Generał Sikorski wygłosił wielką, improwizowaną mowę. Jej trzy zasadnicze punkty stanowiło: rozróżnienie Polski cierpiącej i Polski walczącej, oświadczenie, że Generał stoi ponad sporami lokalnymi i rozdźwiękami partyjnymi, wzywa do jedności i żąda jej jako szef rządu i wódz armii, na koniec stwierdzenie, że w danej chwili ideały polskie i amerykańskie się pokrywają, że kto służy uczciwie jednej ojczyźnie, służy dobrze i drugiej. Wezwanie do czynu na rzecz Polski Walczącej—było punktem kulminacyjnym tego świetnego przemówienia.

Drugi ważny moment, wybijający się ponad niemożliwą do szczegółowego wyliczenia masę wizyt, przyjęć i odwiedzin—to wieczerza w hotelu Palmer wydana przez Radę Polonii. Jest to tylko malowniczy szczegół, curiosum amerykańskie, że w czasie tego zebrania wniesiono na salę "wielką, rzeźbioną w lodzie podobiznę Orła Białego . . . ." Ważne i wymowne było to, że w tym zgromadzeniu na 1500 osób wzięli udział nie tylko Polacy i Amerykanie, ale przedstawiciele wszystkich narodów walczących. Przemawiał na tym zebraniu z wielkim wzruszeniem brytyjski konsul generalny Louis Bernays, po czesku osobisty przedstawiciel prezydenta Benesza, dr. Papanek, po grecku przedstawiciel konsula Grecji, po polsku Jugosłowianin Jan Palandech, prezes Rady Polonii Cenzor Świetlik, a zamknął tę listę mówców Generał Sikorski. Tak na każdym etapie podróży na każdym zebraniu alianci manifestowali swe uczucia dla Polski, dla jej sprawy i jej armii. Z wielu stron podnosiły się głosy oświadczające gotowość wstąpienia w jej szeregi.

Wśród innych wizyt w pamięci zostało mi zetknięcie ze Stowarzyszeniem Kobiet, któremu przewodzi P. Honorata Wołowska. I do tych zacnych pań, oddanych służbie społecznej i narodowej, Generał przemawiał. To bodaj tego jednego dnia wygłosił 8 przemówień. Nawiasem mówiąc w sumie wygłosił 60 mów w ciągu 45 dni. . .

22-go kwietnia rano przybyliśmy do Detroit. Generał Sikorski zjawił się na obradach kongresu homiletycznego, który zgromadził 800 księży polskich, i wziął potem udział w przyjęciu na 1,000 osób. Rozmowy odbyte z księdzem biskupem Woźnickim, biskupem Plagensem i klerem polskim ukazały głęboką solidarność duchowieństwa z naszą sprawą.

Pobyt w Detroit, w którym jest 250.000 robotników polskich, w Buffalo, gdzie ich jest 200,000, w Niagara i Toronto, miał szczególne znaczenie z uwagi na rolę, jaką te ośrodki odgrywają w produkcji amerykańskiej. A odcinek przemysłowy jest w tej chwili frontem najostrzeszej walki Niemiec z demokracją amerykańską, i pośrednio z demokracjami Europy, które ona wspomaga. Pobyt Generała w tych wszystkich centrach miał znaczenie mobilizacji żywiołu polskiego przeciw niemieckiej piątej kolumnie. Buffalo i Detroit odwiedził zresztą także na wyraźne życzenie Prezydenta Roosevelta, który docenia rolę Polaków na tych eksponowanych terenach. Wszędzie, szczególnie w Toronto entuzjazm Polaków żywiołowy, odruchowy — przepełniał nas wszystkich, którzy mieliśmy szczęście i zaszczyt towarzyszyć Naczelnemu Wodzowi w tej podróży najgłębszym wzruszeniem.

Zaproszony po raz drugi do



Wendell Willkie przemawia na wiecu w Carnegie Hall

Waszyngtonu Generał podziękował oświadczając, że zależy mu na jak najszybszym powrocie do Wielkiej Brytanii. Pozostawiwszy listy zasadnicze do najwybitniejszych mężów stanu amerykańskich, zdecydował powrócić najkrótszą drogą.

10-go maja wsiedliśmy na bombowiec amerykański przekazywany Wielkiej Brytanii— już tylko we dwóch; wiceprezes Mikołajczyk został w Stanach dla prowadzenia dalszej akcji propagandowej, dwaj oficerowie ze świty Generała dla prac wojskowych. Przelot nad Atlantykiem odbył się w okolicznościach dramatycznych i niebezpiecznych, wśród burzy elektrycznej, piorunów bijących w pancerz samolotu i wichrów. Był to prawdziwie powrót żołnierza na sprzęcie bojowym. Opowiedziałem go już przy innej sposobności.

11-go maja rano wylądowaliśmy w Szkocji. Naczelny Wódz został powitany przez przebywających tam lotników polskich, znalazł się znowu wśród swoich żołnierzy, wśród czytelników "Polski Walczącej," którzy teraz w moim opowiadaniu odbyli z Nim tę daleką podróż. Byłbym szczęśliwy, gdyby z tego opowiadania wynieśli choć cząstkę tych niezapomnianych przeżyć, wielkich i krzepiących, jakich w ciągu tej historycznej podróży doznałem.

Aleksander Janowski



Gen. Sikorski przemawia da przedstawicieli Polonii Amerykańskiej

Od słów do czynu



W Palm Beach

Podróż Naczelnego Wodza do Kanady i Stanów Zjednoczonych A.P. stała się wydarzeniem historycznym. Zetknięcie się generała Sikorskiego z rządem kanadyjskim, umowa wojskowa i deklaracja tegoż rządu w sprawie polskiej, rozmowa z prezydentem Rooseveltem, porozumienie się z czynnikami wojskowymi oraz z przywódcami opinii publicznej Ameryki Północnej—są aktami pierwszorzędnej wagi politycznej. Tak też ocenia znaczenie tej podróży i rząd Wielkiej Brytanii, gdyż przyszłość Polski w walce z Niemcami została związana z losem Anglii i jej Dominiów.

Nie mniejsze znaczenie posiada ta podróż dla naszej kilkumilionowej Polonii za oceanem. Należy pamiętać, że jest poważna różnica w stosunku jej do naszej sprawy pomiędzy rokiem 1914 a czasami obecnymi. Wtedy ogromna większość naszej emigracji, pochodząc bezpośrednio z kraju macierzystego, była ściśle związana z ziemiami polskimi, mając tam liczne rodziny i zainteresowania. Dziś—pierwsi pionierzy naszego wychodźstwa częściowo wymarli, częściowo, jako starsi, nie biorą czynniejszego udziału w życiu, w którym wpływy należą już do drugiego i trzeciego pokolenia. O ile Polonia z r. 1914 znała bezpośrednio Polskę i żyła częściowo jej życiem, o tyle obecnie poważna większość naszych rodaków w Stanach Zjednoczonych zna Polskę tylko ze słyszenia, z tradycji i ma dla niej tyle uczuć, ile wyniosła ich z domu rodzinnego. O tyle zatem pociągnięcie Polonii amerykańskiej do świadczeń na rzecz naszego kraju jest trudniejsze, w porównaniu do poprzedniej wojny światowej.

Naczelny Wódz, podejmując wyprawę ciężką i ryzykowną do Ameryki, niewątpliwie zdawał sobie sprawę z trudności, jakimi najeżona jest sprawa polska po tamtej stronie oceanu, wiedział o wytężonej działalności propagandy niemieckiej i piątej kolumny, wiedział o braku jedności wśród Polonii amerykańskiej i wpływach izolacjonistów w Ameryce. Jeżeli nie zawahał się wyjechać, to dlatego, że był przekonany, że podróż jego do Ameryki dla sprawy polskiej jest konieczna i nie cierpiąca zwłoki.

A rezultaty tej podróży? Znamy je częściowo z depesz, odprawy urządzonej przez Naczelnego Wodza dla dowódców oddziałów w Szkocji, z wywiadów w prasie. O wielkim wrażeniu, jakie wywołała podróż Generała do Ameryki, świadczą niezwykle liczne artykuły w prasie amerykańskiej, poświęcone jego osobie i działalności, opisy z jego pobytu i przemówień. Generał mógł się przekonać, że osoba jego znana jest armii amerykańskiej, gdyż jego prace naukowo-wojskowe przetłumaczone są na język angielski i stanowią obowiązującą lekturę w szkołach oficerskich. O zasobie energii, jaką Generał włożył w swą pracę w Ameryce, świadczy fakt, że był dzień, w którym wygłosił na zgromadzeniach osiem przemówień.

Generał poruszył opinię amerykańską i wzmocnił pozycję tych, którzy duszą i sercem są z Wielką Brytanią i jej sojusznikami i którzy pragną dać maximum pomocy w walce z Hitlerem. A co najważniejsze, sprawa polska w opinii amerykańskiej nabrała należytego znaczenia: nastąpiło założenie polskiego ćwiczebnego obozu w Kanadzie, a rekrutacja do armii polskiej weszła w stadium realizacji, Polonia zaś amerykańska—częściowo rozbita i stojąca na rozdrożu—uczuła się związana ze sprawą kraju macierzystego i przystępuje obecnie do czynów.

Na zakończenie tego krótkiego podsumowania wyników wyjazdu generała Sikorskiego do Ameryki, skreślonych na podstawie otrzymanych relacji z tamtej strony oceanu, pozwolę sobie przytoczyć słowa naszego wielkiego patrioty i duchowego przywódcy Polonii amerykańskiej, Ignacego Paderewskiego, z listu do mnie z dn. 29 u.m.:

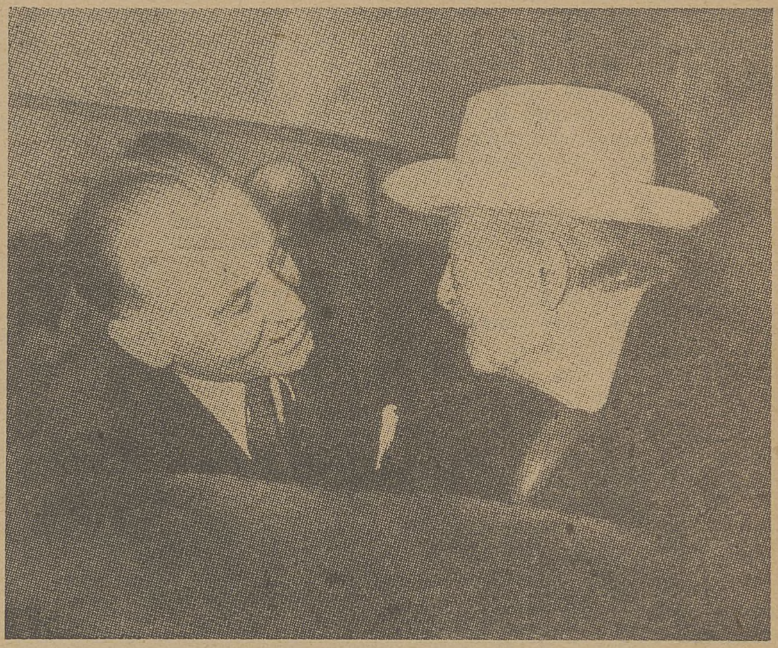
"Nie potrzebuję chyba zapewniać, że myślą serdeczną ciągle jesteśmy z Polską Walczącą—jest to nowy termin, który tu wprowadził Generał i który natychmiast zyskał sobie prawo obywatelstwa. Pobyt Generała tutaj zamienił się w wielką manifestację polsko-amerykańskiej przyjaźni. Podkreślają to zgodnie w całej prasie. Nawet dzienniki izolacjonistyczne, jak "Chicago Tribune," rozpisywały się i nadal rozpisują się o Polsce i o Generale, na równi ze wszystkimi. Daj Boże, aby ten pobyt przyniósł w czynie wyniki, jakich mamy prawo się spodziewać po złożonych na ręce Generała deklaracjach. Udział Generała w Zjeździe Homiletycznym w Detroit był zdarzeniem pierwszorzędnej wagi dla przyszłej pracy Wychodźstwa. Generał sobie zdobył duchowieństwo, jak zresztą i całą Polonię, ale na pracy patriotycznej duchowieństwa głównie opieram nadzieję na wzmożenie ofiarności dla Polski . . ."

Przez podróż swą do Ameryki Północnej Naczelny Wódz podjął misję, która, z wielkim powodzeniem w okresie poprzedniej wojny wypełnił Ignacy Paderewski.

X. Zygmunt Kaczyński



Jedno ze zdjęć amerykańskich



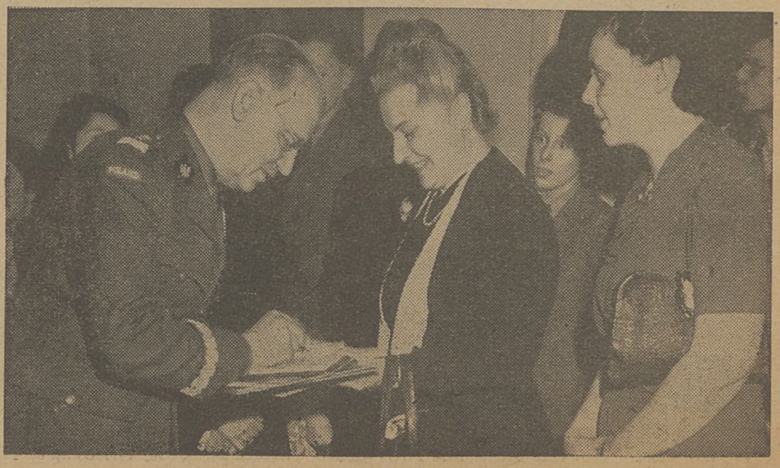
Gen. Wł. Sikorski i Ig. Paderewski



W domu Paderewskiego



Konferencja z przedstawicielami Polonii



Generał rozdaje autografy

Z życia obozów

Powitanie

Stanęliśmy w dwuszeregu na zielonej murawie naprzeciwko szarego pałacyku, którego na oścież rozwarte frontowe drzwi ukazują udekorowany hall z rzucającymi się w oczy emblematami państwowymi Polski, Anglii i Szkocji.

Przed chwilą powiedziano nam, że powitamy tutaj Naczelnego Wodza, generała Sikorskiego, który powraca z podróży do Ameryki. Wiadomość tę przyjęliśmy z wyrozumiałym uśmiechem, albowiem komunikowano nam rzecz, przewidzianą już od tygodnia we wszystko wiedzących żołnierskich głowach, od chwili wyznaczenia honorowego szwadronu i zarządzenia pogotowia wyjazdowego.

Wiosenne, grzejące promienie zachodzącego słońca, piękno ustronia pałacowego, świadomość chwili—wprawiły nas w wesoły nastrój.

Przez cały tydzień, długi tydzień, siedzieliśmy w koszarach, oczekując w każdej chwili rozkazu wyjazdu. Nie wolno było opuszczać rejonu zakwaterowania. To też z niechęcią patrzyliśmy na nasze wyjściowe mundury, które po za koszarami są przedmiotem największej dumy szanującego się korpusowego oerowca. Jakby na złość właśnie w tym czasie ustaliła się piękna, słoneczna pogoda. Jednak poczucie obowiązku pokonuje wszystko . . .



Przywitanie z premierem Kanady

Generał Sikorski przyjechał. Jego energiczna, poważna postać zbliża się ku nam. Ostra, jak błysk bagnetu komenda poderwała wszystkich. Sprezentowaliśmy broń i znieruchomieli. Jedynie oczy, w których się czytało miłość i przywiązanie do swego Wodza, wodziły za przeglądającym nas generałem.

"Czołem ułani"—pozdrowił. Ze stu piersi wzniósł się potężny odzew: "Czołem panie generale."

Generał nie odchodził. Począł mówić. Powiedział, iż rad jest, że znajduje się znowu między nami, żołnierzami. Że my, żołnierze, jesteśmy pierwsi, którzy powitaliśmy go na brytyjskiej ziemi i jest to dowodem szczerej żołnierskiej służby.

Głos generała był wzruszony a mówiąc to ściskał ramiona dowódcy szwadronu i czuliśmy, iż uściskiem tym chciałby objąć nas wszystkich.

"Zrobiłem dużo dla Polski w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych"—ciągnął dalej generał.

Przy tych słowach w naszych myślach powstał obraz dużej i silnej armii polskiej w Ameryce Północnej. W tej chwili zdaliśmy sobie prawę, że zrobiono znowu duży krok na przód na ciernistej drodze do naszej nieszczęśliwej Polski.

Generał skończył wyraziwszy jeszcze raz swą radość z naszej tu obecności. "Ku chwale ojczyzny, panie generale"—odpowiadamy chórem a potem uradowani krzyczymy za odchodzącym generałem: "Niech żyje!"

Uczestnik

Żywot Churchilla



1914: *Pierwszy Lord Admiralicji*

Churchill! Dziwna to postać w dziejach Anglii. Dziwna i fascynująca. Tak anachroniczna na tle angielskiej rzeczywistości a zarazem tak wiernie odzwierciedlająca to wszystko czym Anglia szczyci się najbardziej. Pełna kontrastów—wzlotów i upadków. Pełna tej dziwnej anglosaskiej poezji, która jest mieszaniną nieoczekiwanych wydarzeń, naiwności i przygody. Był w swoim życiu żołnierzem, dziennikarzem, podróżnikiem, korespondentem wojennym, mistrzem gry w polo, posłem w Izbie Gmin, ministrem, pisarzem, malarzem, murarzem (jest członkiem Związku Zawodowego Murarzy — *Amalgamated Union of Building Trade Workers*), historykiem, premierem. Życiorys jego czyta się jak najciekawszą powieść.*

DZIECIŃSTWO

Urodzony 30 listopada 1874 roku, jest synem wybitnego męża stanu Randolpha Churchilla, trzeciego syna Duka of Marlborough. Ze strony ojca płynie w nim zatym krew jednego z największych wodzów i rodów Anglii. Matka jego jest Amerykanką, córką Leonarda Jerome, właściciela i wydawcy New York Times'ów, który jak wielu Amerykanów jego pokolenia dorobił się majątku z niczego a famy z wielce ruchliwego żywota. Wielu ludzi tłumaczy "inność" Churchilla właśnie tą połową amerykańskiej krwi. Jednak zostawmy tę sprawę do rozstrzygnięcia historykom następnego wieku, gdyż nasz wiek jest tak zabałaganiony teoriami rasowymi różnego autoramentu, że trudno nam mieć rozsądne zdanie w tej sprawie. Stwierdźmy tylko fakt: Churchill jest "inny," niż wszyscy Anglicy—tacy, jakich się opisuje i tacy, jakich się spotyka.

Dzieciństwo jego nie wróżyło przyszłych talentów i wielkości. W Harrow uchodził za znacznego nieuka a nawet jego rodzony ojciec miał o nim jak najgorsze wyobrażenie. Z bólem serca też zrezygnował dla syna z kariery prawniczej, która miała go wprowadzić zgodnie z tradycją rodzinną na arenę polityczną. Jedyną karierą możliwą była armia, gdzie —a było to w latach 1894/5— wystarczała postawa, odwaga osobista i dobre urodzenie, aby coś osiągnąć. Ale w szkole wojskowej w Sandhurst tak marnie zdał egzamin wstępny, że zakwalifikował się zaledwie do kawalerii, ku wielkiemu zmartwieniu ojca, który przepowiadał, że jeśli tak dalej pójdzie, to skończy jako "darmozjad społeczny."

ŻOŁNIERZ Z POWOŁANIA

Na wiosnę 1895 roku wstąpił nareszcie do armii—do 4-ego pułku huzarów w Aldershot. Armia angielska nie różniła się prawdopodobnie wiele od wszystkich armii owego czasu. Barwne, jaskrawe mundury, musztra i powodzenie u kobiet. Niewielu ludzi myślało o wojnie. Zresztą horyzont polityczny był bez chmurki. Mimo to młody Churchill zdołał w następnych trzech latach brać udział we wszystkich wojnach, jakie toczyły się na kuli ziemskiej. W Ameryce, Azji, Afryce.

To coś więcej, niż zamiłowanie. To powołanie. Churchill był i jest przede wszystkim żołnierzem. Człowiekiem, który myśli zasadami żołnierskimi i według nich działa. Wojsko i wojna są żywiołem, który do jego usposobienia i umysłu najbardziej przemawia. I nie jest przypadkiem, że to wojsko zrobiło w parę lat z "nieuka i darmozjada" "*The Youngest Man in Europe*" (Tytuł artykułu jaki się o Churchillu ukazał w "*Daily Mail*" w 1898 r.) i że wojsko—a nie studium prawnicze—otworzyło mu drogę do jego dziennikarskiej i politycznej kariery.

Jest żołnierzem. Dobrym i dzielnym oficerem, ale ma w sobie już wtedy zarodki wodza: przedsiębiorczość, wyobraźnię, stanowczość. Nudzi mu się widać w Aldershot, bo pierwszy swój urlop spędza jako korespondent wojenny "*Daily Graphic*" na Kubie z wojskami gen. Camposa. Nie bardzo interesująca jest ta wojna, ale zawsze wojna. Jego artykuły pełne egzotycznego kolorytu zdobywają mu pierwsze laury literackie.

KORESPONDENT WOJENNY

Na wiosnę 1936 roku jedzie ze swym pułkiem do Indii. W lipcu następnego roku wybucha bunt w Himalajach. Mimo usilnych starań o "aktywny przydział" udaje mu się zaledwie uzyskać "przydział" jako oficer—korespondent wojenny. Ale jego przedsiębiorczość i inicjatywa nie pozwalają mu poprzestać na biernej roli obserwatora i porucznik Winston Spencer Churchill jest cytowany w rozkazie za "*courage and resolution.*" Korespondencje swoje drukuję w indyjskiej gazecie "*Allahabad Pionier*" i w "*Daily Telegraph.*" Z tych korespondencji urasta jego pierwsza książka p.t. "*The Story of the Malakand Field Force.*" Pierwsza książka i od razu "*best seller.*" Znana także z tego, że któryś ze zjadliwszych krytyków nazwał ją "*a subaltern's hints to generals*" (wskazówki podwładnego dla generałów). Pierwszy sukces i pierwsi wrogowie.

W jesieni 1898 r.—wbrew sprzeciwom samego Kitchenera— (cóż to za zaszczyt dla 23 letniego porucznika), dostaje przydział do 21 pułku ułanów w wyprawie na Omdurman w Sudanie przeciw zbuntowanym derwiszom. Bierze udział w słynnej w historii wojskowej szarży na Omdurman, z której cudem wychodzi cało. Wrażenia swe opisuje w "*Morning Post*" i w książce p.t. "*The River War.*" Jest to grube dwutomowe dzieło, które zajmuje się nie tylko samą wyprawą, ale roztrząsa cały problem sudański.

I znowu wiele huku, ponieważ atakuje ostro bożyszcze tłumu— wielkiego Kitchenera—za to, że "odnosiło się wrażenie, że im mniej będzie jeńców tym bardziej zadowolony będzie dowódca" oraz za zbeszczeszczenie grobu Mahdiego. "Nie waham się twierdzić, że zniszczenie czegoś, co było świętem dla nich było wstrętnym czynem, którego wstydzić się musi zarówno prawdziwy chrześcianin, jak i filozof." Jakże bardzo angielskie jest to jego wystąpienie i jak ostro zarysowuje się w nim różnica pomiędzy Niemcami a Anglią. W Niemczech nie znalazł się ani jeden człowiek któryby zaprotestował przeciw barbarzyńskiemu traktowaniu jeńców polskich i przeciw zburzeniu pomnika Serca Jezusowego i pomnika Adama Mickiewicza.

"BOHATER Z CHIEVELEY"

Po wyprawie sudańskiej występuje z armii i kandyduje w Oldham z ramienia partii konserwatywnej jako poseł do Izby Gmin. Przepada przy wyborach, ale wzamian ma swą pierwszą "wielką przygodę" i . . . od razu światową sławę. W październiku 1899 wyjeżdża do Afryki południowej, jako korespondent wojenny "*Morning Post*" na froncie burskim. Jednak już w pierwszej wyprawie pociągiem pancernym dostaje się do niewoli pod Chieveley.

Była to bardzo emocjonująca historia, której bohaterem był młody Churchill. Pociąg wykolejono, jednak dzięki energii Churchilla uruchomiono go z powrotem i udało się go wycofać. Churchill z garstką towarzyszy, którzy osłaniali odwrót dostają się do niewoli. Internowany w Pretorii ucieka z obozu jeńców. Boerowie ofiarują 25 funtów nagrody za jego pojmanie. List gończy opisuje go jako "Anglika, średniego wzrostu, o bladej cerze, rudych włosach, noszącego mały ledwo dostrzegalny wąsik, który mówi przez nos i sepleni." Jego ucieczka staje się wydarzeniem pierwszej miary. "Bohater z Chieveley" jest entuzjastycznie witany i fetowany.

Choć krytycznie zapatruję się zarówno na cele, jak i na sposób prowadzenia tej wojny, jako szczery patriota angielski i imperialista przemawia do tłumów i agituje. Jego artykuły w "*Morning Post*" stanowią sensacje dnia. Wstępuje z powrotem do armii. Bije się w tej ostatniej z "romantycznych" wojen. Wojnie podjazdów, zasadzek, brawury. Przeżywa najpiękniejszą przygodę, o jakiej marzyć może młodzieniec i zdobywa światową sławę. Ma lat 26.

W IZBIE GMIN

Wraca do Anglii. Tym razem bez trudu zostaje wybrany do Izby Gmin. Jednak "ten kot, który zawsze chodzi własnymi drogami" nie potrafi nagiąć się do sztywnej dyscypliny partyjnej. Jego przemówienia, w których głosi zasady wolnego handlu (hasła liberałów) wywołują w szeregach konserwatystów zrazu zgorszenie, a potem wyraźną niechęć. Dochodzi do tego, że podczas jednego z jego przemówień premier Balfour i 250 posłów konserwatywnych opuszcza salę posiedzeń.

Churchill zrywa z konserwatystami i kandyduje jako liberał w Manchesterze. Wkrótce zajmuje jedno z pierwszych miejsc w partii. W liberalnym rządzie Campbell-Bannermana obejmuje tekę podsekretarza stanu dla kolonii i wprowadza w parlamencie ustawę o konstytucji Południowo-Afrykańskiej, która daje świeżo zdobytej kolonii samorząd. Wierzy w postęp i humanitaryzm. Wierzy, że wchodzimy" w słońce nowego wieku, wieku bardziej szlachetnego i bardziej szczodrego." W tym czasie bierze udział jako gość cesarza w manewrach armii niemieckiej. Wojsko jak widzimy nie przestaje zaprzątać jego umysłu. Po raz drugi jest na manewrach armii niemieckiej w roku 1909 t.j. na pięć lat przed wojną.

Kolejno jest ministrem Handlu i Spraw Wewnętrznych w rządzie Asquith'a. Konserwatyści nienawidzą go a jego uparta odrębność i bezkompromisowość nie przysparzają mu przyjaciół politycznych. "*He was the best hated man in the country.*" (Hugh Martin.) Jest wspaniałym administratorem, energicznym i niekonwencjonalnym.

Rok 1911. Niemcy demonstracyjnie wysyłają okręt wojenny "Panther" do Agadiru jako protest—pod groźbą wojny— przeciw utworzeniu protektoratu francuskiego w Marokku. Czy to wydarzenie tak wstrząsnęło Churchillem, czy zaniepokoiła go może wizyta na manewrach armii niemieckiej, nie wiemy; faktem jednak jest, że zwraca co raz baczniejszą uwagę na stan przygotowania wojennego Wielkiej Brytanii. Dowiaduje się o istnieniu tajnego paktu wzajemnej pomocy z Francją. Zasypuje swoich kolegów z "*Inner Cabinet*'u" szeregiem memorandów "*on the military aspect of the Continental Problem.*"

Nareszcie znalazł pole do popisu dla swego geniuszu wojskowego. Znowu "poucza generałów" i znowu wojskowy, tym razem Sir Henry Wilson, Szef Sztabu Generalnego, wyraża się pogardliwie o "*this silly memo.*" Ale i wtedy, podobnie jak wcześniej i później rację miał Churchill a nie wojskowi. Fachowcy niechętnie wierzą genialnym dyletantom. Jest to częsty błąd popełniany przez zawodowych wojskowych, którzy mieszają pojęcie "dyletant" z pojęciem "cywil."

PIERWSZY LORD ADMIRALICJI

Churchill jest przekonany, że wojna z Niemcami jest nie tylko możliwa, ale bardzo prawdopodobna i wyciąga z tego wszelkie konsekwencje. Już jako "*Home Secretary*" uzbraja policję i wprowadza cenzurę pocztową dla podejrzanych cudzoziemców, ale właściwe pole do popisu otworzyło się dlań, gdy Asquith powołał go na stanowisko Pierwszego Lorda Admiralicji z zadaniem "postawienia floty w stan natychmiastowego i stałego pogotowia na wypadek zaatakowania nas przez Niemcy."

Zabiera się do dzieła bezkompromisowo, po churchillowsku. Z jednym celem przed oczyma: flota musi być gotowa. Odmładza admiralicję. Przerywa promocje według starszeństwa. Wprowadza ludzi takich, jak Beatty i Jollicoe, którzy później okrywają się nieśmiertelną chwałą. Rozbudowuje flotę. Zamawia w tajemnicy 15-to inchowe działa dla swych pięciu nowych *dreadnought*'ów. "Działaliśmy bez poprzednich prób. Zaufaliśmy brytyjskim uczonym w dziedzinie artylerii morskiej,"—przyznał się później w Parlamencie. "Jeśli chcecie mieć prawdziwy obraz bitwy pomiędzy wielkimi pancernikami nie wolno wam myśleć o niej, jak o walce dwuch mężów w zbrojach, walących w siebie ciężkimi mieczami. Jest to raczej jak walka pomiędzy dwoma skorupkami z jajek, które walą w siebie młotami. Konieczność, aby uderzyć wpierw, aby uderzyć bezwzględniej, aby uderzać stale nie wymaga dalszego dowodu." Działa te wygrały bitwę Falklandzką. Słynne jest również jego powiedzenie: "Dla nas jest flota koniecznością dla Niemiec luksusem. Dla nas jest istnieniem dla nich ekspansją," które wywołało burzę i protesty w Berlinie. Churchillowi należy zawdzięczać, że flota brytyjska była gotowa w roku 1914. Gotowa, jak należy.

DWIE KLĘSKI

Dwie są sprawy wojenne związane z imieniem Churchilla. Wyprawa antwerpska i wyprawa na Gallipoli. Z obu jego wrogowie polityczni starali się ukuć broń przeciwko niemu. Do dziś dnia ta propaganda jego przeciwników znajduje wiarę u wielu ludzi niedostatecznie poinformowanych. W sprawie antwerpskiej był wykonawcą a zrobiono zeń inicjatora. Plan Gallipoli zepusty przez wykonawców genialnie obmyślił i naszkicował Churchill.

Oto co o Gallipoli pisze kapitan Lidell Hardt, najwybitniejszy angielski pisarz wojskowy w swej książce p.t. "*Through the Fog of War*": "Każdy z wyjątkiem zawodowych krótkowidzów zdaje sobie sprawę dziś z tego, że w myśl oficjalnego niemieckiego sprawozdania "śmiała idea Churchilla nie była bynajmniej pełną fantazji teorią." Jedynym politykiem, który obronną ręką wychodzi z tej wyprawy jest Churchill, i rzecz charakterystyczna—jest on jedynym, który był dyplomowanym wojskowym. Znał wojnę i wiedział, czego chce. Przewidział, czego się bali przywódcy wroga . . ." ". . . ale wbrew wskazaniom Churchilla, który zwracał uwagę na sprawę czasu, wojska zostały wysłane zbyt późno. W międzyczasie znacznie większe siły zużyto we Francji dla bezcelowej operacji, co Churchill także przewidział."

"ŻE BĘDZIE LEPIEJ W TO NIE WĄTPIĘ"

Gallipoli spowodowało jego ustąpienie z Admiralicji. Wspaniałą mową pożegnał Izbę Gmin. "Nie należy być rozczarowanym z powodu przebiegu wojny. Przeżywamy ciężkie chwile i będzie prawdopodobnie jeszcze gorzej, zanim będzie lepiej; ale że będzie lepiej w to nie wątpię. Dawne wojny były wygrywane przez epizody raczej, niż dążenia. W tej wojnie dążenia są ważniejsze niż epizody. Możemy wygrać tę wojnę bez jednego sensacyjnego zwycięstwa. Nie musimy, aby ją wygrać wyprzeć Niemców z terytoriów, które zajęli lub przerwać ich front. Gdy linie niemieckie rozciągają się daleko poza granice Rzeszy i gdy sztandary ich powiewają nad wielkimi stolicami i podbitymi prowincjami, gdy wszystkie okoliczności i sukcesy wojenne sprzyjają jej armiom, Niemcy mogą być walniej pobite w drugim lub trzecim roku tej wojny, niż gdyby armie aliantów wkroczyły do Berlina w pierwszym roku. Niektóre z owych małych państw są zahypnotyzowane przez błyskotliwość i precyzję niemieckiej machiny wojennej. Widzą odblask, widzą epizod ale czego nie widzą lub z czego nie zdają sobie sprawy to jest to, że stare i potężne mocarstwa, przeciwko którym Niemcy odważyły się wystąpić, są zdolne uporać się z rozczarowaniami i z bałaganem i odnowić swą siłę i przetrzymać straszliwe cierpienia dla wygrania największej sprawy, o jaką ludzie kiedykolwiek walczyli."

Zgłasza się na front. Ma rangę pułkownika i tylko intryga polityczna w ostatniej chwili cofa jego nominację na generała brygady. W roku 1917 Lloyd George powołuje go do swego gabinetu jako Ministra Amunicji. Z tym stanowiskiem wiąże się jeszcze jeden dowód jego genialnej intuicji. Tank. Jeszcze jako Pierwszy Lord Admiralicji—zamówił na własną odpowiedzialność pierwsze tanki. Teraz narzuca ten swój pomysł sztabowi. Organizuje i rozwija wspaniale produkcję broni i amunicji tak, jak w 23 lat później, Lord Beaverbrook w gabinecie Churchilla zorganizuje produkcję samolotów.

Dominik Szczerbic



1941: *Premier Rządu Wielkiej Brytanii*

---

* *Battle: The Life Story of Winston S. Churchill. Study of a Genius by Hugh Martin, Edited by Victor Gollancz, Ltd., London,* 1940.

ABISYNIA

Kampania włosko-abisyńska

Wyprawa Włochów do Abisynii jest o tyle ciekawa z wojskowego punktu widzenia, że stanowi ekspedycję kolonialną, przeprowadzoną bodaj że na największą skalę i zakończoną w stosunkowo bardzo krótkim czasie. Oczywiście siły były bardzo nierówne: z jednej strony nowoczesna, aczkolwiek nieszczególnie wyekwipowana armia, z drugiej—liczne, ale zupełnie prymitywne bandy tubylców.

Włosi działali z dwóch kierunków: siły główne pod rozkazami początkowo marszałka De Bono, potem marszałka Badoglio posuwały się z północy, wyruszając z Erytrei włoskiej. Uderzenie drugorzędne o wiele słabszymi siłami i o charakterze raczej dywersyjnym szło z południa, z włoskiej Somali pod rozkazami marszałka Graziani. Byłem przez cały czas przy siłach głównych, południowego więc terenu operacyjnego nie znam.

Wojska włoskie składały się z trzech zupełnie różnych elementów: armii regularnej, milicji faszystowskiej (czarnych koszul) i wojsk tubylczych.

Wojska regularne były połączone w dywizje piechoty w sile trzy pułki piechoty i jeden pułk artylerii każda. Oczywiście istniały poza tym jednostki pomocnicze oraz służby. Siła każdej dywizji wynosiła 15-16 tysięcy ludzi. W ówczesnej organizacji włoskich jednostek regularnych uderza ogromne wyposażenie w broń maszynową ciężką: kompania na szczeblu batalionu, batalion na szczeblu pułku i jeszcze jeden batalion CKM na szczeblu dywizji. Artyleria przedstawiała się słabiej: jeden pułk artylerii dywizyjnej o 9 bateriach haubic górskich 75/13, oraz w każdym pułku piechoty towarzysząca bateria 4-działowa armat górskich 65/17. Wszystkie tabory pułkowe, jednostki karabinów maszynowych, cała artyleria dywizyjna były samochodowe. Każda dywizja posiadała kompanię miotaczy ognia (pieszą) oraz t.zw. oddział chemiczny, który zresztą bardzo prędko został przeformowany na zwykłą kompanię strzelecką. Wartość poszczególnych oddziałów regularnych przedstawiała się dość niejednolicie. Niektóre pułki wyglądały świetnie, inne zupełnie marnie.

Wielkie jednostki milicji faszystowskiej, złożone z ochotników, miały odgrywać rolę wojska partyjnego, całkowicie oddanego reżimowi. Były wyposażone znacznie lżej i spodziewano się, że wobec tego oraz z racji swego ideowego nastawienia będą one oddziałami szybszymi, bardziej zaczepnymi, pewnego rodzaju elitą. W rzeczywistości rzecz przedstawiała się odwrotnie. Słabsze liczebnie, znacznie słabsze ogniowo, o wiele gorzej wyszkolone, stanowiły one nie elitę, ale wyraźnie jednostki drugiej kategorii, bijące się gorzej i maszerujące znacznie wolniej.

Sformowanie milicji faszystowskiej, zdaniem moim, nie wzmocniło, tylko osłabiło wojsko włoskie, gdyż wywołało daleko idące tarcia między nią a oddziałami regularnymi. Każde powodzenie, odniesione normalnie przez jednostki regularne, władze starały się przypisać milicji, oczywiście ze względów partyjnych. Oficerowie milicji byli to oficerowie rezerwy z armii, którym ponadawano o wiele wyższe stopnie, tak n.p. znałem kapitana z wojska, który był generałem milicji. Były wypadki o wiele drastyczniejsze—tak n.p. pewien dość znany poeta futurystyczny został również mianowany generałem w milicji. Oczywiście nie mogło się to podobać wojskom regularnym. Dodajmy do tego, że milicja miała cały szereg swoich śmieszności, które żołnierze ze zwykłym Włochom dowcipem podchwytywali. Chodziło przede wszystkim o wygląd zewnętrzny, który u czarnych koszul musiał być jak najbardziej wojowniczy przy zachowaniu pewnych cech uważanych za elegancję. W rezultacie oficer milicji z wielką brodą (zewnętrzna oznaka skrajnych przekonań faszystowskich) ze sztyletem za pasem, w grubych alpejskich butach i z monoklem w oku wyglądał—śmiesznie.

Dywizje milicji posiadały tylko po dwa pułki (zwane legionami) po dwa bataliony i jednej kompanii CKM oraz zwykle jeden tylko dywizjon artylerii.

Charakterystykę oddziałów tubylczych podałem już w poprzednim artykule. Dywizje ich posiadały zawsze w swym składzie pewne jednostki białe, jak saperów, łączność i t.d. Organizacja była taka sama jak wojsk regularnych z mniejszym nieco wyposażeniem w broń maszynową oraz artylerią starszych typów, lub zdobyczną austriacką z wojny światowej.

Artyleria pozadywizyjna całkowicie zmotoryzowana składała się niemal wyłącznie ze starych dział. Między innymi widziałem nawet stare 120-ki francuskie z ósmego dziesiątka lat przeszłego stulecia.

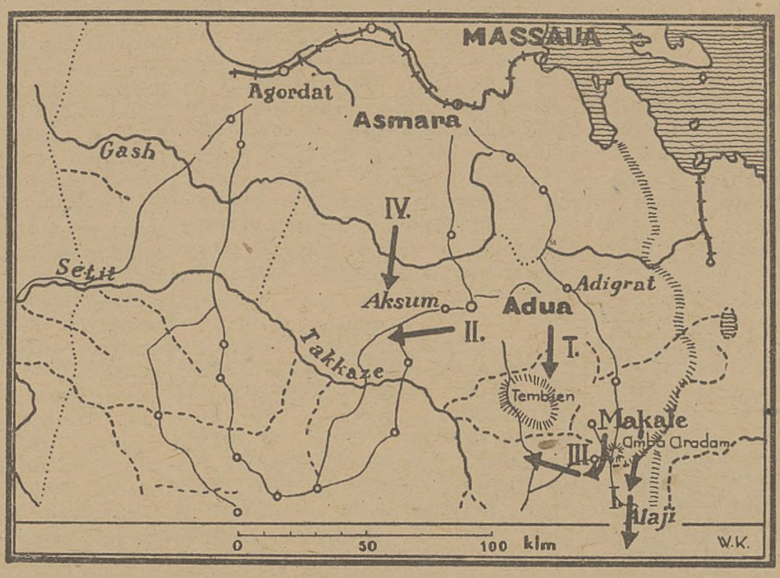
Żadnych czołgów innych jak t.zw. *armii Velochi*, całkowicie odpowiadające naszym T.K. nie widziałem nigdy. Największą jednostką czołgów był dywizjon, wyższych związków nie było.

Kawalerii wyłącznie tubylczej (erytrejskiej i libijskiej) było w ogóle tylko 7 szwadronów, przy czym utraciła ona od razu blisko połowę swych koni i w ogóle żadnej roli nie odegrała.

Lotnictwo wbrew powszechnemu mniemaniu nie było silne: 200—250 samolotów przy bardzo niedużym procencie maszyn nowoczesnych, przysłanych tytułem próby. Obok tego było dużo typów całkowicie przestarzałych.

Ogólne siły frontu północnego doprowadzono stopniowo do około 350 tysięcy ludzi, 100 tysięcy zwierząt jucznych (mułów i wielbłądów) i ponad 15 tysięcy samochodów.

Rzeczywiście świetnie funkcjonowały wszystkie służby pomimo niezmiernie trudnych warunków, a prawdziwymi bohaterami tej kampanii byli robotnicy drogowi i szoferzy, których praca była warunkiem niezbędnym jakichkolwiek działań w tym niezmiernie trudnym terenie.



Dużo mówiono i pisano o używaniu gazów przez wojska włoskie. Oczywiście, sprawa ta interesowała mnie bardzo, jak zresztą i wszystkich innych korespondentów wojennych. Muszę jednak stwierdzić, że nigdy nie widziałem czego kolwiek, co by na użycie gazu mogło wskazywać. Nie słyszałem też, żeby ktokolwiek z bardzo licznych obecnych dziennikarzy coś w tym rodzaju kiedy widział. Wojska włoskie masek w ogóle nie posiadały co chyba wskazuje na to, że gazów nie miały zamiaru używać.

Ofensywa włoska rozpoczęła się w końcu września roku 1935. Włosi rozporządzali w tym czasie na froncie północnym trzema korpusami: pierwszym, drugim i tubylczym. Wszystkie trzy korpusy wyruszyły na przód w jednej linii, tubylczy w środku, włoskie na skrzydłach. Korpus pierwszy bez boju zajął Adigrat, korpus drugi po krótkiej walce—Aduę i Axum. Korpus tubylczy między nimi doszedł do bardzo trudnego masywu górskiego Tembien.

Nastąpiło dość długie zatrzymanie nie ze względu na opór nieprzyjaciela, lecz z powodu konieczności przygotowania na tyłach. Dopiero na początku listopada następuje nowy ruch na przód i następuje zajęcie miasta Makalle (pierwszy korpus) i znowu długie zatrzymanie. Marszałek De Bono widocznie nie daje sobie rady z przygotowaniem tyłów, zresztą ma siły za małe, żeby się głęboko posunąć na drobnym odcinku frontu, gdy ogromne jego przestrzenie w prawo i w lewo są bądź całkiem nie obsadzone, bądź też zaledwie dozorowane przez śmiesznie małe siły, jak n.p. odcinek rzeki Setit koło granicy Sudanu, gdzie na 200 km. frontu stoi generał Couture z dwoma tysiącami ludzi. Wywiązuje się szereg drobnych walk o charakterze partyzanckim, nie zawsze szczęśliwych dla Włochów. Najzaciętsze walki tego rodzaju są w trudnych terenach nad rzeką Takazze i w Tembienie. Powstaje wrażenie, że Włosi sobie rady dać nie mogą, duch wojska zaczyna wyraźnie słabnąć.

W tych warunkach marszałek De Bono zostaje usunięty, a miejsce jego zajmuje najpopularniejszy człowiek w wojsku włoskim, marszałek Badoglio. Praca na tyłach zaczyna się rozwijać w niezwykłym tempie, posiłków przybywa. Formuje się trzeci i czwarty korpusy białe. Wojska jednak wciąż stoją na miejscu, a na przeciwko nich zbierają się Abisyńczycy, którzy zachęceni bezczynnością Włochów, zaczynają już liczyć nie na wojnę partyzancką, w której by mieli znaczne szanse, a na obronę na miejscu, do której zupełnie nie byli zdolni.

W styczniu sytuacja jest następująca. Naczelny wódz z korpusami drugim i trzecim stoi pod Makalle, oddziały te są wysunięte daleko na przód w stosunku do jednostek centrum i prawego skrzydła i połączone z Erytreą włoską jedną jedyną drogą, biegnącą przez trudny teren i mającą 400 km. długości. Dalej na zachód korpus tubylczy znajduje się w Tembienie, wreszcie jeszcze dalej korpusy drugi i w tyle zanim czwarty, w rejonie Adua-Axum. W tej sytuacji następuje jedyna próba ofensywy abisyńskiej: znaczna masa wojowników rzuca się z Tembienu na jedyną linię komunikacyjną korpusów pierwszego i trzeciego. Przez parę dni sytuacja jest groźna, jednakże dywizji białej generała Somma przy pomocy nadbiegających jednostek korpusu tubylczego udaje się Abisyńczyków zatrzymać.

Siły abisyńskie są zgrupowane w trzech masach, odpowiadających trzem zgrupowaniom włoskim. Przed pierwszym i trzecim korpusem stoi ras Mulughetta z 50-60 tysiącami ludzi, oparty o niedostępną górę Amba Aradam. Przed korpusem tubylczym stoją rasowie Kassa i Sejum, wreszcie przed grupą drugiego i czwartego korpusu ras Immru. Siły Abisyńczyków nie są dokładnie znane, lecz wynoszą w każdym zgrupowaniu po kilkadziesiąt tysięcy wojowników.

12 lutego marszałek Badoglio uderza na Amba Aradam. Plan bitwy jest bardzo prosty: jedna dywizja (alpejska) naciera czołowo, dwie dywizje obchodzą z prawej strony, dwie—z lewej. Mają Abisyńczyków otoczyć. Wsparcie—250 dział. Abisyńczycy odpowiadają przez parę minut 16-ma. Oczywiście armia rasa Mulughetty jest całkowicie rozbita i jej resztki uciekają na południe, ścigane przez pierwszy korpus (gen. Santini, obecnie podobno wzięty do niewoli przez wojska brytyjskie). Jest to tak zwana przez Włochów bitwa w Enderta, jedna z trzech, które rozstrzygnęły kampanię. Abisyńczyków otoczyć się nie udało, lecz zostali rozbici i resztki ich rozchodzą się po prostu do domów.

Następnie zostaje rozbita grupa rasów Kassa i Sejum. Atakuje z północy korpus tubylczy, od Makalle na tyły zachodzi trzeci. Znowu otoczenie się nie udaje, lecz Abisyńczycy są rozbici i rozproszeni. Jest to druga wielka bitwa tej wojny, bitwa w Tembienie.

Wreszcie grupa rasa Immru zostaje rozbita przez korpusy drugi i czwarty. Plan bitwy jest taki sam, jak w Tembienie—korpus czwarty uderza czołowo z północy, korpus drugi od wschodu zachodzi na tyły. Rezultat też taki sam —jest to trzecia wielka bitwa tej wojny—bitwa w Scire.

Wszystkie trzy wymienione bitwy zostały ukończone w pierwszych dniach marca 1936 roku. Marszałek Badoglio wówczas wezwał do siebie korespondentów zagranicznych i oświadczył im, że przeciwnika przed sobą nie ma.

Wtedy sformowano dwie kolumny samochodowe. Na czele mniejszej wyruszył na Gondar generalny sekretarz partii faszystowskiej Starace i zajął je właściwie bez boju. Posuwał się przez nizinę zachodnią, gdzie ruch samochodowy przez teren jest możliwy.

Na czele drugiej kolumny stanął sam naczelny wódz. Jeszcze jeden bój, bez większego zresztą znaczenia nad jeziorem Asciangi, ucieczka bez walki gwardii abisyńskiej pod Dessie i droga do stolicy jest otwarta. Ruch samochodowy możliwy, gdyż Włosi doszli już do jedynej szosy, jaką Abisyńczycy sobie wybudowali, prowadzącej na Addis-Abebę.

Addis-Abeba—Nowy Kwiat została zajęta w pierwszych dniach maja i kampania zakończona. Z ta chwilą rozpoczęło się panowanie Włochów w Abisynii o wiele jednak krótsze, niż to wówczas mogli przypuszczać.

Władysław Dziewanowski

Por. poprzednie artykuły cyklu: "Ludność" w nr. 10, "Teren" w nr. 17 "Wojownicy i ascari" w nr. 19 "Polski Walczącej." Niniejszy artykuł zamyka ten cykl.

Prasa czechosłowacka w Anglii

Kto chce poznać życie Czechosłowaków w Wielkiej Brytanii, ich kłopoty i dążenia, powinien czytać pisma czechosłowackie, wydawane w Londynie i w obozach. Korzyść dla Polaka będzie podwójna: zapozna się ze sprawami Czechosłowacji i z duchem, jaki ożywia armię naszych pobratymców oraz dowie się wielu szczegółów, których na ogół nie spotyka się w pismach angielskich.

Czesi bowiem szczególnie dobrze orientują się w sprawach słowiańskich. Uważnie śledzą politykę Rosji i znają nieźle układ sił w państwach bałkańskich. Czytelnik polski znajdzie tu więc czasem wzmianki np. o legionach ukraińskich gen. Wojciechowskiego w Piszczanach, o różnicach poglądów między Gabrilowićem a Cwetkowićem czy Maczkiem, o opozycji demokratycznej w Bułgarii etc.

Na czoło prasy czechosłowackiej wysuwa się tygodnik "Czechoslovak." Tu ukazują się komunikaty oficjalne, tu drukowane są mowy ministrów i innych dygnitarzy, tu umieszczane są sprawozdania z oficjalnych przyjęć, zebrań, odczytów. Pismo jest ilustrowane, przynosi stale w każdym numerze sporo interesujących artykułów i mnóstwo drobnych wiadomości z Czechosłowacji. Na szczególną uwagę zasługuje "Wolna Trybuna," w której dyskutowane są sprawy, co do których poglądy nie mogą być jeszcze ostatecznie ustalone. Spotykamy tu opinie "za" i "przeciw." Czasem są artykuły w sprawie ustroju lub przyszłych granic, czasem na temat Niemców sudeckich. Pismo zawiera także dział kulturalno-literacki.

O wydarzeniach wojennych najlepiej informuje dziennik "Naše Nowiny," odbijane na powielaczu. Zasługuje na podkreślenie sprawność informacyjna. Czytelnik znajdzie tu wiadomości z najrozmaitszych radiostacyj i to z ostatnich godzin. Pismo umieszcza także krótkie artykuły, sprawozdania etc.

Najmniejszy objętością, ale również bogaty w treść jest "Prapor." Poza mnóstwem informacyj z całego świata pismo zamieszcza również karykatury, dowcipne wierszyki etc.

Oczywiście we wszystkich czasopismach (jest ich więcej) podawane są przede wszystkim wiadomości z Czechosłowacji i to nie tylko z Czech i Moraw, ale także ze Słowacji. Z mnóstwa drobnych, a szybko ujawnianych szczególików wnosić należy, że łączność między Czechosłowakami w Anglii a ich ojczyzną funkcjonuje doskonale. Wiadomości te są pochłaniane przez czytelników równie chciwie, jak w naszych pismach doniesienia z Polski.

Okazuje się, że okupacja w Czechosłowacji niezbyt różni się od rządów niemieckich w t.zw. Gen. Gubernatorstwie. Ta sama brutalność, bezwzględność, planowość w eksploatacji gospodarczych zasobów kraju i niszczeniu jego kultury. W Czechach i na Morawach również odbywają się przesiedlania, egzekucje, wywłaszczania i Niemcy również starają się nadać głównym osadom niemiecki pokost.

Wszystkie pisma czechosłowackie interesują się żywo sprawami polskimi. Od czasu do czasu, bardzo rzadko, spotyka się uwagi polemiczne, spowodowane jakimś nietaktem ze strony polskiej, ale na ogół notatki te nacechowane są życzliwością dla Polski i Polaków. Widać dążenie do zapoznania czytelnika czeskiego dokładnie z naszymi poglądami i dążeniami, z naszą działalnością w Wielkiej Brytanii. Nie brak więc notatek (zwłaszcza w "Czechosłowaku") o polskich książkach, wystawach, pismach, "Polsce Walczącej" w szczególności..

Czy trudno Polakowi czytać pisma czechosłowackie? Sądzę, że nie. Kto rozpocznie np. od komunikatów wojennych, stosunkowo najłatwiejszych i zawierających dużo wyrazów międzynarodowych, kto je będzie wytrwale czytał przez parę tygodni, ten później bez większych trudności przejdzie do artykułów politycznych, a po niedługim czasie będzie rozumiał wszystko. To też bierzmy się do tych gazetek! Czytajmy czeskie artykuły nie tylko w streszczeniu i w tłumaczeniach, lecz w oryginale. Znajomość języka czeskiego bardzo się przyda po wojnie, w okresie zacieśniania stosunków politycznych, handlowych, kulturalnych i turystycznych.

Stanisław Zatorski

Z kampanii norweskiej

Urywki pamiętnika

II.*

Znów przyszły ogromne pasażery pełne wojska. Podobno nasza brygada podhalańskaląduje gdzieś w pobliżu.

—"No to się Szwaby skończą" —zauważył mat Wojgara, który stał oparty o rufowe działo. "Jak oni pójdą na Niemców to rany boskie . . . —zaśmiał się gardłowo —nie chciałbym tam siedzieć."

—"Narwik już leży—dorzucił ktoś z boku—mowy nie ma, żeby szwaby naszym radę dali. Będą zwiewać aż portki pogubią."

Słońce zachodziło. Duża czerwonawo-ceglasta kula staczała się co raz niżej. Opodal zazgrzytał wyluzowujący się łańcuch kotwiczny. Z kluzy dziobowej unosił się charakterystyczny rdzawy dym. Duży statek na szaro malowany stanął na kotwicy. Od mola oderwały się pykające głośno kutry rybackie i obsiadły burty wielkiego pasażera.

—"Szkoda gadać to Polacy"—odezwał się wachtowy, trzymając lornetkę przy oczach.

—"Nie picuj, nie picuj, po czym to poznajesz? Przecież orzełków nie zobaczysz, bo odległość za duża."

—"Tak, ale oni jakoś po polsku do tych kutrów włażą, to napewno nasza wiara."

—"Czekajcie — zaproponował Sawicki—musimy coś zrobić, aby oni koło nas przejeżdżali."

Pierwszy kuter, załadowany wojskiem, odcumował od statku i skierował się w stronę nadbrzeża.

—"To nasi, niech mnie szlag trafi, nasze chłopaki, popatrzcie peleryny, hełmy, a na nich . . . tak to napewno Polacy."

Na rufie gromadziło się co raz więcej marynarzy. Stali wpatrując się w zbliżający się kuter, a każdy czuł jakieś niecodzienne podniecenie. Tymczasem kuter, czy to zwabiony licznym zbiegowiskiem na rufie okrętu, czy też dlatego, że dostrzeżono banderę,—zmienił kurs i zamiast przejść w odległości około pół mili od okrętu, zbliżał się od strony rufy kierując się na prawą burtę. Na kutrze zaszumiała melodia. Łowiliśmy uchem dochodzące dźwięki, zrazu niezrozumiałe, a potem gdy więcej głosów podchwyciło piosenkę, zrozumieliśmy i znieruchomieliśmy, bo nas zatkało. To byli Polacy, a śpiewali: Morze, nasze morze, Ciebie wiernie będziem strzec. . . .

Wkrótce byli tak blisko, że widać było twarze i głośno mówiąc porozumieć się głosem nie było trudno.

—"Hej tam, pierunie—rozdarł się Gwóźdź—rżnijcie psubratów, pieruna. . ."

—"Się nic nie bój, potaśmy tu przyjechali."

Wrzask był ogólny. Oni krzyczeli: Niech żyje marynarka, myśmy wrzeszczeli: Niech żyje armia, niech żyje brygada podhalańska, bijcie szwabów. Głosy nam wkrótce pochrypły, a kuter oddalał się szybko i tylko ręce kiwały i machały, dawały znać, że się rozumiemy. Potem drugi, trzeci i czwarty kuter poszedł w ślady pierwszego i na każdym to samo i z każdym to samo powitanie i radość. Długo staliśmy na pokładzie zachrypnięci i zmarznięci, bo chłód wieczorny otulił zatokę białą, unoszącą się z nad wody mgiełką.

— — — — — — — — —

—"No wiecie, ja już tam wolę na lądzie—powiedział generał Szyszko-Bohusz, po skończonym nalocie.—"Zawszeć to to jakoś pewniej."

Dowódca brygady podhalańskiej odwiedził nasz okręt i wziął nas wszystkich swoją prostotą i bezpośredniością. On pierwszy otworzył nam oczy na rzeczywistość francuską. A wyraził się mniej więcej w te słowa. Jeżeli Niemcy zaatakują w najbliższej przyszłości Francję (było to w początkach maja 1940) to niedobrze. Może być tragedia. Linia Maginota jest na skalę amerykańskiego bluff'u. Zamiast w ciągu tego długiego snu zimowego pójść na przód w przygotowaniach wojennych, to oni poszli na przód, ale tylko pod względem przygotowywania wykwintnych obiadów w oficerskich kasynach. Przygnębiło to nas fatalnie, bo właśnie całe nasze nadzieje pokładaliśmy we Francji i utarło się u nas przekonanie: niech tylko Niemcy ruszą, Francja tylko na to czeka.

Rozmawiał z nami tak, że wydawało nam się, że znamy go wiele lat. Podczas rozmowy, krótkie urywane dźwięki dały znać o nalocie. Wyszliśmy na pokład, a w tej samej chwili zaszczekała broń przeciwlotnicza. Samolot szedł na stosunkowo niedużej wysokości. Wykonywał wyraźnie nalot na krążownik "Effingham." Nasze pociski obramowały Niemca, który w chwili rzucenia bomb, przechylił się trochę w lewo i łukując do dołu, począł raptownie uciekać.

"Rzucił bomby." Rzeczywiście srebrne kuferki widoczne były doskonale w świetle słonecznym. Po chwili znikły nam z oczu. Potem znajomy charakterystyczny gwizd i trzask, jeden, drugi trzeci . . . fontanny wody przesłoniły stojący przed dziobem krążownik. Sześć bomb położył równolegle w odległości niecałych dwudziestu metrów. Ostatnia obryzgała dziób naszego okrętu. "Wiecie, ja jednak wolę na lądzie."—powiedział wtedy generał Szyszko-Bohusz.——"Ja już nie jeden nalot w tej wojnie przeżyłem, kilka dni leżałem pod ciężkim ogniem z powietrza, ale ja już tam wolę na lądzie."

— — — — — — — — —

Stoimy przy molo. Lada chwila mamy odejść. Czekamy na dowódcę, który poszedł po rozkazy na ląd. Na pokładzie pełno strzelców z brygady podhalańskiej. Przyszli na okręt jakżeśmy się tylko przycumowali. Nasi marynarze wyłażą ze skóry, aby swoim zielonym przyjaciołom okazać jak bardzo są im radzi. Marynarze wynieśli całą kantynę, papierosy, czekoladę, keksy i t.d. Poczęstunek szedł dorywczy, w tempie przyśpieszonym, bo spodziewaliśmy się w każdej chwili odkotwiczenia.

Oni, ci co nas luzowali, oddali nam swoją maskotkę psa, którego marynarze ochrzcili mianem Narwik. "Narwik" nie jedno przeżył, pływając na naszym okręcie. Podczas nalotów, pies stawał na spardeku przed kominami i szczekał, zadzierając łeb do góry, patrząc się na samoloty. Merdał przy tym ogonem i wyglądał na zupełnie szczęśliwego. Huku nie bał się zupełnie. Koty natomiast uciekały zwykle w panicznym strachu, pod aparaty torpedowe. Jeżeli będzie te wspomnienia czytał któryś z tych kolegów, który podarował nam tego psiaka i jest ciekawy dalszych jego losów, to dla informacji podaję, że pies tęsknił bardzo za lądem. I kiedy po pewnym czasie stanęliśmy na dłuższy czas do "ścianki," Narwik na widok zielonych mundurów dostawał szału radości. I pewnego dnia uciekł na ląd prawdopodobnie za jednym z wojskowych spacerujących po nadbrzeżu. Może jest nadal maskotką jakiejś innej formacji wojskowej.

Dowódca powrócił. "Proszę przeprosić gości, sprawdzić stan załogi, odkotwiczenie za pięć minut."

— — — — — — — — —

"Cumy rzuć." Okręt wolno odchodzi od mola, na którym pozostali w tak krótkim czasie zdobyci przyjaciele. Stali i kiwali rękami, i życzyli nam dużo szczęścia, a myśmy też machali rękami i prosiliśmy Boga, by dał im szczęścia krzynę i wszelkiej pomyślności w spotkaniach z wrogiem.

Dziób już odchodził od mola, kiedy przyszła na wybrzeże kobieta w mundurze, Polka. Przepchała się przez tłum strzelców, wyjęła chusteczkę i przesyłała nam rączką serdeczne życzenia pożegnalne. I jakoś dziwnie, prawdziwie po polsku suszyła kąciki oczu.

Brygada Podhalańska zluzowała Marynarkę. Tego dnia odeszliśmy z O.R.P. "Błyskawicą" do Anglii.

Jerzy Tumaniszwili

* Por. nr. 19-y "Polski Walczącej."

Z kampanii francuskiej

Na drodze pod Gourgançon

. . . Dojeżdżamy do Broussy le Grand. W środku wsi zatrzymano kolumnę szwadronu. Wyjeżdżam motocyklem na czoło. Dowódca szwadronu woła zdaleka. . . , "Zameldujesz się zaraz w sztabie Brygady u płk. S.—w tym szarym budynku na lewo." Jadę tam.

Z daleka widzę sylwetkę dowódcy Brygady, który stoi przy swoim samochodzie. Na drzwiczkach namalowane czerwone kwiaty maków—odznaka całej Brygady.

W ciemnej dosyć i pustej prawie izbie siedzi przy stole kpt. S. i pisze rozkaz operacyjny. Dyktuje szef Sztabu. Po chwili rozkaz jest podpisany i szef Sztabu zwraca się do mnie:

—"Ma Pan tutaj rozkaz operacyjny Nr. 2. Doręczy go Pan wymienionym w rozdzielniku dowódcom. Wszyscy będą w niedługim czasie przejeżdżali przez tę miejscowość.—Czołem!"

—"Czołem, Panie Pułkowniku!" Biorę rozkaz, czytam . . . chowam go dobrze i odjazd.

Było już zupełnie ciemno, gdy wręczałem go ostatniemu z wymienionych dowódców, mjr. Z. Przywitał się ze mną—weszliśmy na kwaterę. Wszystkie pokoje puste, okna zabite deskami—stół, dwie ławki—na stole dwie świece. Siedliśmy wszyscy za stołem. Mapa, ołówki, bloki meldunkowe, kartki papieru. . . .

Przez sekundę patrzę na twarze pochylone nad mapami. . . . Major ma twarz całą szarą, tak jest zakurzony, jego adiutant ppor. F. jest wyraźnie zmęczony—widzę, że walczy po prostu z własnymi powiekami, które mu się co chwila zamykają. Ostatnie noce prawie nie spał. Ktoś mu proponuje, żeby się napił trochę wina. Dwie szklanki stoją na stole, ale czy go to nie uśpi zupełnie? Daję mu kawałek czekolady—zjada dosyć obojętnie. Reszta obecnych to mniej lub więcej zmęczone twarze, zasmarowane i zakurzone w okropny sposób. Niektórzy mają wyraźne odciski, czerwone pręgi na czole—niedopasowane hełmy.

Major skończył czytać rozkaz. Orientacja na mapie—"podaję sytuację"—wszystkie głowy przybliżają się do map. Rozkazy dla szwadronów!—Niestety do tej pory nie ma nikogo z 2-go szwadronu i nie wiadomo, gdzie się on znajduje. . . . Jest godzina 11.00 w nocy.—Małe świece palą się mdłym światełkiem.

Major każe mnie i F. wsiąść zaraz do samochodu i odszukać 2-gi szwadron. Noc ciemna, świateł nie wolno palić. Na szosie nieprzerwane szeregi—wozy, konie, samochody, działa i jaszcze artyleryjskie—lawina ludzi. Pod osłoną nocy oddziały przesuwają się—wszystko się cofa, wszystko idzie na południe.

Ta lawina jeszcze wczoraj trzymała Marnę, a dzisiaj—to mieszanina wszystkiego, co tylko w tym rejonie działało. Artyleria 20 D.P., kolumna samochodowa 7 D.L.M., jakieś oddziały XXIII korpusu—batalion z 59 D.P. i tyle innych. . . . Dzisiaj to już wszystko stanowi jedną wielką całość. . . . Odwrót z nad Marny.

Posuwamy się w tej fali bardzo powoli. O jakimkolwiek wymijaniu nie ma mowy. W pewnej chwili F. mignął na sekundę małym światłem, aby nie wjechać na rozbity kamion. Natychmiast przyskoczyło kilku maruderów, wygrażając nam pod nosem karabinami i pistoletami. Odruchy panicznego strachu przed bombami —nawet wobec małych możliwości nalotów w nocy.

Po dwóch godzinach wracamy ze zgiętym błotnikiem i z urwaną klamką od drzwi, ale niestety—bez łączności z 2-gim szwadronem. Nie sposób było ich znaleźć. Poprzednie noce z reguły spędzaliśmy w duchwach leśnych, więc pewnie oni to samo dzisiaj zrobili, a dookoła pełno lasów. . . .

Powróciłem do szwadronu—łyk zimnej kawy z manierki i spać.

O 3.30 rano pobudka. Małymi dróżkami polnymi, a często i naprzełaj przez teren—maszerujemy na Gourgançon. Z zakrętu przed samą miejscowością widzę, że musi tam być kompletne zakorkowanie szosy. Dwie kolumny francuskie są już częściowo we wsi, ale nikt się nie porusza. Wyjeżdżam na pole i widzę jak czoło szwadronu z trudem przeciska się przez ten korek na szosie i powoli wjeżdża do wsi. Podjeżdżam do dowódcy szwadronu. Właśnie wraca od czoła i mówi, że zator jest niesłychany i lepiej będzie przeczekać tu przed wsią, aż się to rozplącze. Niestety plutony por. G. i ppor. P. wjechały już w pierwsze zabudowania.

W czasie tej rozmowy widzę w pewnej chwili jak ludzie panicznie uciekają ze wsi w pole. Niestety było to już za późno!—Ujrzeliśmy wyraźnie, jak 16 bombowców niemieckich nadlatuje w kierunku małej wioski. Głośny rozkaz po kolumnie — "LOOOTNIK!" — Wozy zjechały w prawo i w lewo od drogi—ludzie pędem lecieli do lasu.

Chcąc dokładnie zobaczyć co się stanie, zatrzymałem się na skraju lasu, mając przy sobie S. i Z. Patrzyliśmy wszyscy na zakorkowaną kolumnami wieś, oczekując każdej sekundy straszliwej serii wybuchów.

Przy piekielnym ryku pikujących na zmianę bombowców, rozzuchwaleni brakiem wszelkiej obrony, lotnicy niemieccy zniżali się niemal ponad wierzchołki drzew.

Już po pierwszej serii bomb dym przesłonił nam widok. Z przerażeniem myślałem o tym, że każda bomba, gdziekolwiek by trafiła, spowoduje napewno dużo ofiar, a oprócz bomb każdy samolot przejeżdżał po wsi seriami swoich karabinów maszynowych. I znowu byliśmy bezsilni. . . .

Opodal mnie, w zbożu i między krzakami, leżało kilkunastu Senegalczyków. Byli to dobrzy żołnierze, którzy śmiało i odważnie szli na bagnety, ale nalotów bali się panicznie, a zwłaszcza tego piekielnego ryku potężnych motorów lotniczych. Dostawali nieomal febry ze strachu. Po prostu stawali się nieprzytomni w czasie każdego bombardowania. Ich pierwotny, dziki instynkt samozachowawczy tłumaczył im wyraźnie, że są bezsilni i tego nie wytrzymywały ich nerwy. Stawali się dzikimi zwierzętami, skulonymi w panicznym strachu przed czymś, co jest potężne i straszne, a czemu przeciwstawić się nie byli w stanie.

Ich wioski i kobiety były daleko. Przywieziono ich stamtąd—nie zawsze na ochotnika, a teraz oddawali swe życie dlatego, że pozwolono im nazywać się Francuzami. Szli całymi gromadami, po wszystkich drogach i polach, przemęczeni, biedni, głodni, najczęściej bez amunicji—i najczęściej bez celu, byle tylko nie tam, gdzie Niemcy. Widziałem ich trupy przy drogach. Z podziwem patrzyłem na tych czarnych ludzi, którzy prawie zawsze nieśli ze sobą to, co rzucała w odwrocie co najmniej połowa Francuzów—karabin. Przywiązanie do broni mieli we krwi.

Teraz kilku z nich obserwowałem w czasie bombardowania. Powchodzili w zboże i zachowywali się bardzo dziwnie. Nie padali, a po prostu część klękała skulona z pochylonymi głowami, a większość zwijała się dosłownie w kłębek, wsadzając głowę między kolana.

Bombardowanie trwało bez przerwy przeszło 40 minut. Chwilami widziałem wybuchy na samej drodze we wsi—kamienie, gruzy i deski wylatywały ponad dachy.

W końcu barbarzyńcy uznali, że wystarczy już tyle znęcania się nad bezbronną wsią. Przelecieli jeszcze razem nad dziełem swego zniszczenia i znikli na horyzoncie.

Pobiegliśmy do wsi. Na samym skrzyżowaniu dwa leje od bomb. Pod drzewem leży jakiś cywil i ma w dwóch miejscach dosłownie zgruchotaną nogę. Widać złamaną kość — twarz zupełnie blada. Jakaś kobieta przemywa mu ranę. Nic się nie skarży, nie jęczy—prosi tylko o łyk wina. S. daje mu się napić z manierki. Idziemy dalej — po prawej stronie trupy dwóch kobiet. Okropny widok! Leżały o kilka metrów od swego domu. Bomba wybuchła między nimi i domem. Porozrywane wnętrzności leżały o kilka metrów dookoła. Nie zatrzymujemy się —chcę wiedzieć jak najprędzej, co jest z naszymi ludźmi. Na środku drogi rozbity doszczętnie wóz i koń z połamanymi nogami. Duża rana w szyi. Budynek obok cały rozwalony. Zdaje się, że to kościół.

Z za ruin tego budynku wychodzi płacząca kobieta—na ręku niesie maleńkie dziecko, które ma całą główkę czerwoną. Podchodzi bliżej—i teraz uświadamiam sobie całą zgrozę i potworność tej tragedii. Biedne maleństwo zostało trafione sporym odłamkiem bomby w głowę. Matka, niosąc je teraz, już właściwie nie płacze, a cały czas spazmatycznie szlocha. Krew dziecka spływa jej po rękach, po sukni i spada pojedyńczymi kroplami na ziemię. Pomóc tej kobiecie nie można. Dokąd idzie?—nie wiem. Pochować dziecka też nie można, bo napewno matka go nie odda.

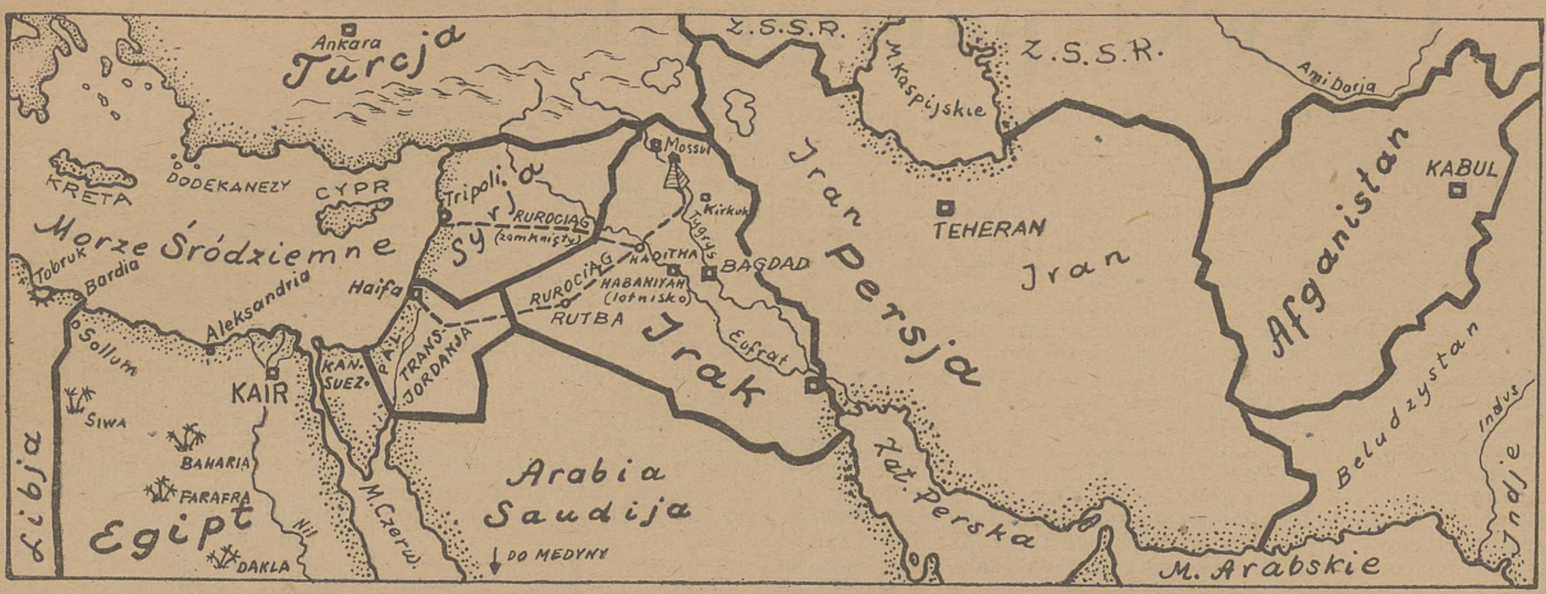
Przez chwilę patrzę na największą tragedię, jaką może przejść matka. . . . Znika—idziemy w stronę naszych wozów. Podchodzi ppor. P. i mówi, że ma w plutonie jednego zabitego —strzelec Łazak. Bomba uderzyła metr od wozu—rozbity zupełnie. Niestety Łazak leżał za blisko. Widzę jego ciało, ale twarz jest tak zmasakrowana, że upewniam się dopiero po przeczytaniu tabliczki rozpoznawczej. Ppor. P. odłamuje pół tej tabliczki rozpoznawczej. Zabiera to wachmistrz T., szef szwadronu. Potem koledzy kopią mały dół opodal—z dwóch desek zbijają skromny krzyż. . . chwila z odkrytymi głowami. . . "Niech ci bracie ta ziemia francuska lekką będzie a w tym skromnym grobie żołnierskim niech ci się śni w chwale i w majestacie Ta, za którą oddałeś życie."

Stoimy chwilę—ktoś mówi, że ojca nie miał, została tylko staruszka matka. Gdzie mieszka—nie wiadomo.

Przechodzimy koło innych wozów. Jeszcze jeden rozbity—to samo motocykl. Na szczęście w ludziach ofiar nie było. Zdążyli odbiec od wozów i rozsypać się w lesie. Z batalionu czołgów poważnie ranny kpt. C. Z ludności cywilnej było sporo ciężko rannych i kilku zabitych. W kolumnie francuskiej natomiast, która była cała stłoczona we wsi —straty są duże. Zabitych i ciężko rannych około 70. Porozbijane wozy tarasowały już teraz ostatecznie przejście przez wieś.

Kamil Bogumił Czarnecki

Syria w nowej fazie wojny



Debata w Izbie Gmin na temat działań w Grecji, która przyniosła rządowi Churchilla jednomyślne (za wyjątkiem 3 głosów) votum zaufania, zakończyła okres wojny, który przyszły historyk nazwie kampanią bałkańską. Debata przy tej okazji odsłoniła niezwykle wysokie pobudki moralne, które miały wpływ na postanowienia czysto wojskowe—pojęcie honoru u naszych Sprzymierzeńców przekreśliło zimne rachuby i kalkulacje sztabowe.

Bombardowanie lotnisk w Syrii przez R.A.F. oraz ukazanie się samolotów niemieckich w rejonie Mosulu i Bagdadu wytyczają wyraźnie nowy kierunek parcia niemieckiego. Nie było by dowodem zbyt wielkiej fantazji wyobrażić sobie w tej chwili Hitlera z marszałkiem Keitlem, prowadzących obrady nad mapami, i czerwone strzałki ostrzem swoim skierowane w stronę Indii. Obecne działania niemieckie w Syrii i Iraku, wyrażające się na razie w skromnej formie posiłków lotniczych dla Ali Raszida oraz wzmożenie działalności V kolumny w świecie muzułmańskim należy uważać jedynie za działania wstępne.

Celem tych działań jest przede wszystkim opanowanie Syrii, aby w ten sposób: 1) zapewnić dalszą pomoc Ali Raszidowi w Iraku, 2) zagrozić wojskom gen. Wavella w Egipcie, odciążając w ten sposób trudną sytuację gen. Rommla i wreszcie, 3) aby jeszcze bardziej oskrzydlić Turcję, odcinając ją od jej ewentualnego sprzymierzeńca—W. Brytanii. Postawa rządu Vichy, która wywołała już otwarte potępienie w Stanach Zjednoczonych i spowodowała odpowiednią reakcję, może oczywiście zadanie niemieckie poważnie ułatwić.

W numerze 35 "Polski Walczącej" (z 9 listopada u.r.) w artykule pod tytułem "Nowa faza wojny—nowe zagadnienia" napisałem: "po złamaniu . . . Grecji . . . opanowanie Syrii, rządzonej przez ludzi Vichy nie wydaje się niemożliwe" (Ta ocena sytuacji w listopadzie u.r., będąca jedynie wyrazem chłodnej bezstronności wydaje mi się na dłuższą metę o wiele słuszniejsza, aniżeli bałamucenie czytelników tanim optymizmem, o "atutowej karcie," jaką ma w ręku marszałek Pétain w oporze przeciwko Niemcom; ta atutowa—to miały być właśnie kolonie francuskie oraz osoba gen. Weygand . . .)

Wracając do działań niemieckich można stwierdzić, że rozpoczęły się one raczej nie pod najlepszą gwiazdą: korpus ekspedycyjny gen. Rommla w Libii na skutek wzrastającego nacisku Anglików oraz co raz większej blokady wybrzeża Libii znajduje się w danej chwili w sytuacji dość ciężkiej; kampania w Abisynii jest już prawie zakończona, co da do dyspozycji gen. Wavella kilkadziesiąt tysięcy dobrych wojsk i lotnictwa, zajętego obecnie likwidacją resztek oporu włoskiego wreszcie gen. Wilson w Palestynie ma do rozporządzenia dość poważne siły, wzmocnione ostanio oddziałami ewakuowanymi z Grecji. Należy dodać jeszcze, że w danym wypadku odpada ponadto zupełnie moment zaskoczenia, który odegrał bądź co bądź taką rolę w Libii.

Powstaje z natury rzeczy pytanie, w jaki sposób Niemcy będą dążyć do opanowania Syrii? We wspomnianym artykule z listopada u.r. wysunąłem tezę, że: "opanowanie Syrii dokonane może być dwoma drogami: lądem przez Turcję czego Niemcy na razie pragną uniknąć—lub w drodze desantów powietrznych i morskich."

Wprawdzie obecne działanie niemieckie w Libii wykazały możliwość transportu większej ilości wojsk przez morze za pomocą samolotów, tym nie mniej należy stwierdzić, że na korzyść Niemców działało zaskoczenie oraz osłabienie lotnictwa brytyjskiego na skutek przerzucenia dużej ilości samolotów do Grecji. W danym wypadku pomijając już brak zaskoczenia, na niekorzyść Niemców gra rolę o wiele większa odległość: od Pyreusu do Bejrutu jest ok. 700 mil, zaś od Rodosu do Syrii ok. 400 mil; ponadto należy bardzo poważnie wziąć pod uwagę obecność lotnictwa angielskiego na Krecie a szczególnie na Cyprze, które uczynić może przelot wojsk niemieckich mało podobnym do przyjemnego spaceru powietrznego nad lazurowym morzem. W konsekwencji opanowanie Syrii za pomocą desantów powietrznych, i to pomimo podsunięcia baz lotniczych na wyspy Peloponezu jest najeżone dużymi trudnościami. Może z tych względów lotnictwo niemieckie w ostatnich czasach zaczęło co raz częściej odwiedzać Kretę oraz Cypr. Z tych względów też atak z powietrza skupił się ostatecznie na Krecie.

Jeszcze trudniejsza jest sprawa jeżeli idzie o desanty morskie. Resztki floty włoskiej, poszczerbionej ostatnio w bitwie pod Cap Matapan nawet pomimo ewentualnego wzmocnienia jej większą ilością niemieckich łodzi podwodnych, które po zmontowaniu w Constanzy przemykają się przez Dardanele na Morze Egejskie, oczywiście nie będą mogły transportom niemieckim zapewnić bezpiecznego wejścia na morze. Sądzę, że począwszy od admirała Cunninghama, cała flota brytyjska na Morzu Śródziemnym marzy tylko o podobnej okazji. Ryzykowne wyprawy pojedyńczych transportowców niemieckich, którym będzie się może udawało przemykać wzdłuż wybrzeża Syrii, nie rozwiąże tej sprawy. Logicznym następstwem tych trudności niemieckich, może być nacisk na powolnego admirała Darlana, aby oddał do dyspozycji Niemiec flotę francuską.

Pozostaje więc jeszcze krótsza i bezpieczniejsza droga lądowa przez Turcję, dla której otwarcia Niemcy muszą rozwiązać szereg zagadnień politycznych i wojskowych.

Sprawę drogi przez Turcję rozpatrywać należy przede wszystkim pod kątem widzenia politycznym i to nie tylko na tle rozmów niemiecko-tureckich, w grę bowiem wchodzi stanowisko Sowietów. Powstaje automatycznie pytanie, jakie byłoby stanowisko Sowietów w razie niemieckiego nacisku na Turcję a następnie jakie ostatecznie stanowisko zdecyduje się zająć Turcja?

Jeżeli idzie o postawę Sowietów, to cały szereg faktów, jak pobyt sowieckiej misji lotniczej w Afganistanie i Persji, odmówienie uznania praw przedstawicielstwa poselstwom Belgii, Norwegii i nawet Jugosławii, co w sposób cyniczny przekreśliło pakt przyjaźni zawarty z Jugosławią w dniu ataku Niemiec, a wreszcie uznanie 12 maja rządu Ali Raszida—ma chyba dostateczną wymowę. Nie ulega już żadnej wątliwości, że współpraca sowiecko-niemiecka zaczyna stawać się co raz mniej wątpliwa, a wszelkie rozważania na temat rzekomych zamiarów niemieckich marszu na Ukrainę i Kaukaz należy wreszcie zaliczyć do szkodliwych mrzonek.

Nie tylko W. Brytania ale również i rząd Stanów Zjednoczonych orientuje się w tym co raz dokładniej, ograniczając co raz bardziej eksport surowców do Sowietów. Pożar wojenny, który obecnie rozszerza się na Wschodzie odpowiada tradycyjnym zainteresowaniom rosyjskim i, być może również i na mapach Sowieckiego Sztabu Generalnego, czerwone strzałki wzkazują swoim ostrzem na Afganistan i Indie.

Jeżeli idzie o przyszłe żądania niemieckie, które, niewątpliwie w swoim czasie Papen przedłoży rządowi Turcji, to prawdobodobnie będą one sformułowane w formie żądań prawa użytkowania linii kolejowej prowadzącej do Alexandretty — żądanie zbliżone do tego, jakie było wysunięte pod adresem Jugosławii. Żądanie to będzie, oczywiście poparte całym szeregiem gwarancji, zapewnień i obietnic.

Pozostaje do rozważenia w formie przypuszczalnej, jaka może być w tym wypadku postawa Turcji?

Jak wiadomo, w czerwcu 1940 Turcja nie dotrzymała swoich zobowiązań wynikających z umowy wojskowej zawartej z Francją i W. Brytanią—wejścia do wojny w razie ruszenia się Włoch; również nie dotrzymała ona paktu bałkańskiego, który zobowiązywał ją do wystąpienia w razie wspólnej akcji Jugosławii i Grecji—partnerów tego paktu. Wystąpienie Turcji w tym czasie mogło by oczywiście poważnie zaważyć na przebiegu kampanii bałkańskiej. Powstrzymując się od wystąpienia w tym, zdawało by się najbardziej korzystnym wypadku, Turcja musiała sobie zdawać sprawę, że w najbliższej przyszłości może jej grozić zupełne odosobnienie.

Wreszcie jedną z klauzul umowy z W. Brytanią, Turcja była zobowiązana do reakcji na ukazanie się wojsk niemieckich w Syrii, reakcja ta jak dotąd nie nastąpiła, natomiast prezydent Ineunu przyjął w tych dniach Nejdi Shevkita, ministra wojny rządu Ali Raszida; wprawdzie pakt w Saadabad z 1937 przewiduje konsultację pomiędzy partnerami (Turcją, Irakiem, Iranem i Afganistanem) w sprawach międzynarodowych, ale Ali Raszid jest w stanie wojny z W. Brytanią.

Daleki jestem w danym wypadku od wyciągania wniosków, wydaje mi się jednak, że przytoczone fakty mają wymowę niemniejszą, aniżeli frazesy prasy tureckiej.

Z drugiej strony trzeba się z tym zgodzić, że w razie oskrzydlenia Turcji od lądu i morza, przy jej słabości pod względem technicznym ewentualny jej opór byłby bardzo trudny, w razie zaś poparcia żądań niemieckich przez Sowiety—beznadziejny.

Jedyną podporą oskrzydlonej Turcji, w razie powzięcia przez nią bohaterskiej decyzji dotrzymania swoich zobowiązań sojuszniczych względem W. Brytanii—byłyby wojska brytyjskie w Syrii, stąd nakazem zarówno wojskowym, jak i politycznym staje się zajęcie tego kraju przez Anglików. Akcja oddziałów "Wolnej Francij" zdaje się wskazywać, że weszli oni na tę drogę.

Niestety, zajęcie Syrii nie jest wyłącznie zagadnieniem wojskowym. Pociągnąć musi ono za sobą rewizję dotychczasowego stosunku do rządu Vichy, i może w konsekwencji doprowadzić do wojny z Francją, rządzonej przez Pétaina, a konflikt francusko-brytyjski w najwyższym stopniu odpowiada planom Hitlera.

Z drugiej strony Niemcom też jest pilno do zajęcia Syrii, gdyż umożliwi ono podtrzymanie chwiejącego się powstania w Iraku, może w razie zagrożenia Palestyny odciążyć gen. Rommla w Libii i wreszcie ułatwić okrążenie Turcji.

Z powyższych rozważań wynika, że w obecnej fazie wojny—klucz do sytuacji znajduje się w Syrii.

Eugeniusz Hinterhoff

Szkic sytuacyjny

WALKI NA KRECIE

W chwili, gdy piszemy te słowa walki na Krecie trwają. Niemcy uderzyli z powietrza i wody: samoloty transportowe wyrzuciły spadochroniarzy, szybowve wyładowały swoich, z łodzi wysiedli najeźdźcy i oto na Krecie, gdzie od paru dobrych miesięcy obozowali Anglicy i wojska imperialne, odbywa się walka. Trudno powiedzieć regularna. Przeciwnie, jest to najbardziej nieregularna walka, albowiem w wojnie obecnej pojęcie frontu przestało prawie istnieć.

Próba niemiecka jest ryzykowna. Niemcy rzucili dwie dywizje spadchroniarskie/ po 7,000 żołnierzy każda/. Ogółem mają ich—według obliczeń fachowców brytyjskich—*aż 7 czyli około* 50,000 *chłopa.* Lądowanie spadochroniarzy z szybowców jest próbą pierwszą bodaj w tej wojnie. Ryzyko było ogromne, mimo to udało się tu i ówdzie takie lądowanie. Spadochroniarze spadali z małej wysokości, atak ich poprzedzily bombowce nurkujące, które starały się zniszczyć opór myśliwców brytyjskich na lotniskach.

Sytuacja jest niewątpliwie trudna, albowiem Anglicy atakowani są na bardzo długiej linii brzegu. Niemcy mogą skoncentrować poważne ilości bombowców z baz greckich, Anglicy nie mają do dyspozycji odpowiedniej ilości lotnisk dla zaparkowania swoich pościgowców, teren tej wyspy jest niekorzystny.

Kreta jest niewątpliwie niezmiernie ważnym punktem. Gdyby Niemcom udało się sforsować Kretę, to wtedy Suez, Palestyna są poważnie zagrożne. Dlatego Anglicy muszą walczyć na Krecie ze wszystkich sił.

Kreta jest także próba ważną dla samych wysp brytyjskich. Chodzi mianowicie o udowodnienie, czy możliwa jest inwazja wyspy z powietrza i czy zamęt, jaki taka inwazja wywołuje, jest tak poważny, że paraliżuje ośrodki zorganizowanego oporu? Dla strategów lekcja kreteńska będzie ważna. Nie zapominajmy, że lądowania niemieckie w Libii dowiodły, iż jeżeli nie ma poważnych efektywów floty na morzu i sił lotnictwa nad danym obszarem, to wtedy można—korzystając z pomocy, jak w tym wypadku, Francji — dokonać jednak lądowań. Libia i Kreta da nam, całość wniosku, którego zlekceważyć nie możemy.

SYRIA, IRAK, IRAN

Nie możemy także zlekceważyć lekcji w Syrii. Niemcy mają tam do dyspozycji blisko 20 lotnisk i lądowisk. Mają, jak się obawiają koła angielskie, wpływ na losy tzw pipe-line czyli rurociągu naftowego, którego jedna odnoga przebiega przez Syrię. Syrię należy co rychlej zająć, nawet gdyby miało to wywołać uderzenie niemieckie przez Turcję.

W Iraku atak angielski na Bagdad rozwija się. Szybkość będzie tu decydująca. Niemieckie samoloty siadają już na lotniskach irackich. Anglicy nie mogą dopuścić do takiego wzmocnienia sił niemieckich, ażeby potem znaleść się w niedoborze liczebnym aparatów.

Jeżeli w Iraku Niemcom powiedzie się lepiej, to wtedy czeka nas szach ze strony szacha perskiego.

Nie ulega już dzisiaj kwestii, że władca Persji spogląda łaskawym okiem ku Rzeszy i że wolałby rządy niemieckie niż władztwo sowieckie.

Ale w tej sprawie zadecyduje Berlin. Jak koła angielskie przypuszczają, ambasador niemiecki w Moskwie von der Schulenburg, jeden z największych spryciarzy niemieckiego świata dyplomatycznego, posiada dzisiaj więcej wpływu na Stalina, aniżeli Mołotow czy inne sowieckie postacie polityczne. On też smaży teraz spotkanie Hitler-Stalin, które ma przypieczętować losy Bliskiego Wschodu a może i Indyj (w mniemaniu Hitlera).

GRANICE ATAKU

Anglicy zdają sobie dzisiaj sprawę z tego, że uderzenie niemieckie jest potężne i że grozi podstawom Imperium. Suez, Irak, Persja, Indie—wszystko to może stanąć w ogniu walki. Nigdy jeszcze w swojej historii Anglia nie była tak zagrożona.

Trzeba sparować te ciosy i to jak najszybciej. Do ich sparowania potrzeba pomocy Stanów Zjd. Potrzeba jej szybko, zaraz i w jak największej mierze. Ameryka winna wejść do wojny i to w ciągu najbliższych miesięcy. Powinna rzucić wszystko na szalę—wszystko co ma, bez żadnych zastrzeżeń. Przysłowie, że kto daje szybko, daje dwukrotnie, jest tutaj niezmiernie prawdziwe.

Atak państw osi jest atakiem na cały uznany świat. *Jest to atak celem nowego podziału świata.*

ROSJA SPRZEDANA?

Złudzenia sowieckie nikną powoli w tym kraju. Co raz częściej mówi się o tym, że Sowiety zdradziły, że zbliżają się do Niemiec tak ostentacyjnie, iż nie sposób żywić już jakichkolwiek złudzeń, że są tak przerażone Niemcami, że z lęku zrobią wszystko.

Jeżeli tak jest, to oznacza to, że Rosja będzie dalej zjadać ochłapy z niemieckiego stołu i że związana jest zupełnie z Rzeszą. W tych warunkach możliwe jest opanowanie Rosji przez pracę niemiecką, przez ekspertów, przez t.zw. techników. Rosja na razie chce się poddać—w nadziei, że starczy jeszcze czasu na poderwanie się do walki. Czy tak będzie —nie wiemy. Obawiać się należy, że arcychytry Stalin już przechytrzy. Popchnął do wojny Hitlera w nadziei, że zostanie sam na placu, gdy inni się wykrwawią, a teraz jest osaczony, zdany na łaskę. Musi robić ustępstwa, musi być imperialistą z łaski Berlina.

POTRZEBA NAJWYŻSZEGO WYSIŁKU

Jesteśmy na niebezpiecznym zwrocie dziejów. Tocząca się rozgrywka, jest największą, jaką oglądały bodaj dzieje nowoczesne. Ramy wojny światowej były mniejsze, waga decyzji, jaka miała zapaść napewno ani w części tak ogromna.

W. Brytania musi skupić wszelkie siły, wszelkie energie, ażeby podołać. Nie ukrywajmy, że mamy do czynienia z straszliwymi procesami, z groźnymi siłami. Jak w czerwcu ub. r. tak i w czerwcu tego roku będziemy musieli zmobilizować wszelką wiarę.

Londyn, 22 maja 1941.

Zbigniew Grabowski

Wojna na morzu

W porównaniu z fantastycznymi wypadkami na Bliskim Wschodzie, które przerastają daleko "proroctwa" Juliusza Verne'go i Wells'a, codzienna, szara walka na Atlantyku mniej może działa na wyobraźnię. Chociaż. . . Czyż nie fantastyczne są, i przed 40 jeszcze laty nie do wyobrażenia dalekie raidy okrętów podwodnych, przemykania się przez pola minowe, leżenie na dnie, póki przeciwnik nie zmyli śladu, wykrywania okrętów podwodnych przy pomocy specjalnych aparatów, "wyczuwających" obecność "obcego ciała" pod wodą, polowania na okręty podwodne, bomby hydrostatyczne i tyle innych strasznych wynalazków pod wodą i nad wodą? . . Czy nie fantastyczne są napady "piratów powietrznych," walki powietrzne ponad okrętami, rzucanie torped przez samoloty, pompomy i działa szybkostrzelne p.l.? . . Nie fantastyczne owe długie podróże konwojów ze statkami naładowanymi cennym ładunkiem, gdy eskortujące kontrtorpedowce, korwety, czy nawet krążowniki "biegają" wokoło, jak psy owczarskie wokół stada? . . Wszystko to przerasta wyobraźnię naszych dziecinnych lat, jest straszne, okrutne, ale i wspaniałe zarazem. Tak na morzu, jak powietrzu, a nawet na lądzie, dzięki udoskonalonym maszynom jednostka, jej dzielność osobista, jej walor własny, inteligencja, szybkość orientacji, stanowczość i szybkość decyzji, a zarazem zdolność przewidywania —znowu powracają do dawnego, "rycerskiego" okresu, gdy jeden rycerz szarżował na setki wojowników, a ci pierzchali przed jego siłą i odwagą. Potworna przewaga wielkich mas z czasów poprzedniej wojny kończy się. CZŁOWIEK. wraca na dawne stanowisko.

To też, gdy zrozumie się tę prawdę, może wielu ludzi przestanie się dziwić, czemu Wielka Flota Wielkiej Brytanii jest tak olbrzymią potęgą, choć w porównaniu do wojska nie przedstawia MASY, a moc jej w sile technicznej, w wyszkoleniu i w dzielności indywidualnej. Może też wielu ludzi lepiej zrozumie, na czym polega walor naszej stosunkowo niewielkiej Marynarki Wojennej i na czym polega olbrzymie znaczenie jej walk, jej istnienia, jej rozwoju dla Sprawy Polskiej. Wartość jednostkowa naszych okrętów, spotęgowana maszyną ich uzbrojenia i napędu —z każdego kontrtorpedowca, czy okrętu podwodnego, czy nawet ścigacza stwarza odrębną jednostkę, dającą swój własny wkład do zmagań olbrzymów, wkład, który, dzięki jakości i sile indywidualnej, moralnej i technicznej znaczniejszy jest częstokroć, niż wkład bez porównania większych jednostek na lądzie. Nie mówię tu już oczywiście o skutkach propagandowych, które w tak morskim kraju, jak Wielka Brytania są olbrzymie, a w Ameryce obok czynów lotnictwa, słusznie najpopularniejsze.

Jak zaś cenią naszą Marynarkę Wojenną Brytyjczycy, najlepsi marynarze świata, bynajmniej nie tacy skorzy do udzielania nawet kurtuazyjnych pochwał, widać choćby z listu *Commander-in Chief, Home Fleet* (stanowisko odpowiadające mniej więcej Dowódcy Floty) do Szefa Kierownictwa Marynarki Wojennej vice-admirała Świrskiego z okazji święta 3 maja:

"*. . . pragnę przesłać Panu wyrazy wysokiego uznania ze strony Floty dla udziału, jaki wkłada Polska Marynarka Wojenna do naszej wspólnej sprawy. Wysoka sprawność i wspaniały duch oficerów i marynarzy okrętów polskich, które znajdują się lub znajdowały się, pod moim dowództwem, wywarły na mnie duże wrażenie i jest mi szczególnie miło, że szereg waszych doskonałych, młodych oficerów pełni obecnie służbę na moim okręcie flagowym i na innych okrętach pod moim dowództwem.*"

Szef Kierownictwa Marynarki Wojennej w specjalnym rozkazie do marynarzy ogłosił ten list, jednocześnie odpowiadając angielskiemu Admirałowi:

"*. . . w imieniu własnym i Polskiej Marynarki Wojennej przesyłam Panu najszczersze podziękowania. Idąc za przykładem dzielnej Królewskiej Marynarki i dumni z udziału w walce przeciwko wspólnemu wrogowi burta o burtę z Brytyjską Marynarką Wojenną, nasi oficerowie i marynarze, którym z prawdziwą przyjemnością zakomunikuję Pański telegram, będą się czuć jeszcze bardziej zachęceni do dalszych wysiłków w walce.*"

Często ludzie, nie orientujący się jeszcze dotąd w charakterze walki morskiej mniejszych okrętów, zadają pytania: "jakie walki stoczyły polskie okręty?" Jest to pytanie bardzo kłopotliwe o tyle, że te walki toczą się bez ustanku, że należało by podać po prostu ilość mil morskich przebytych dzień w dzień od Islandii po Azory, od Morza Północnego po Atlantyk Południowy, Gibraltar i Morze Śródziemne. Obok zaś tych przebytych mil ilość ataków podwodnych, nadwodnych i powierznych, ilość wykrytych i zwalczanych okrętów podwodnych, ilość samolotów strąconych, lub takich, z którymi stoczono walki, ilość konwojów i statków przeprowadzonych w cztery strony Atlantyku, ilość odbytych patroli, strzelań i t. p. i t.p. Wszystko razem dopiero złożyło by się na całość obrazu, na odpowiedź dla ciekawskich. Obecnie taka odpowiedź jest niemożliwa. Można tylko z grubsza i bardzo niedokładnie, a przez to krzywdząco, odpowiedzieć: walki na wodach polskich i na wybrzeżu, walki na Bałtyku, walki u brzegów Anglii, walki u brzegów Norwegii, Dunkierka, walki w "Bitwie o Atlantyk."

Ostatnie określenie "Walki o Atlantyk" jest już samo w sobie określeniem miesięcy krwawego trudu bez końca wśród mgieł, sztormów, śniegu, mrozu, min, torped i niezliczonych niebezpieczeństw fantastycznych, jak nie były fantastyczne powieści cudowne Verne'go, Main Reida czy Wells'a."

* * *

Gdy mówi się o "Bitwie o Atlantyk", gdy wspomina się o krwawym i wielkim trudzie na morzu, nie można nie powiedzieć o Polskiej Marynarce Handlowej, która bierze w niej udział bezpośredni i nie mniej chwalebny. Jesteśmy niepoprawni "lądowcy" i z wielu rzeczy uparcie nie umiemy sobie zdać sprawy. Może dla tego tak mało pisze się w polskiej prasie emigracyjnej o naszej Marynarce Handlowej, może dla tego Wojsko i "cywile" tak mało wiedzą, co się dzieje z polskimi statkami, co one robią i "skąd się wzięły" na Atlantyku. Jest to temat tak ogromny i wdzięczny, że przerasta ramy mego tygodniowego przeglądu morskiego.

O tym należy koniecznie pomówić oddzielnie. Pisząc jednak o udziale polskim w "Bitwie o Atlantyk" nie wolno mi zapomnieć o marynarzach na polskich statkach handlowych. Ich krwawy, ciężki trud, ich uporczywość pracy i wysiłku, ich życie w wiecznych niebezpieczeństwach na codzień, ich walki wreszcie (ostatnio jeden z polskich statków handlowych "ściągnął" samolot niemiecki z powietrza do wody, a nie jest to pierwszy i ostatni wypadek)—zasługują na to, aby o nich bardziej pamiętano, aby częściej przypominano sobie o ludziach, którzy współpracują dzielnie z Brytyjską Flotą Handlową i którzy zachowali dotąd jedyny skarb, jaki posiadamy: polskie statki handlowe pod polską banderą. Obok Marynarki Wojennej w bitwie o Atlantyk walczy Flota Handlowa, a na statki tej floty "rekiny" i "sępy powietrzne" właśnie polują, o zniszczenie ich chodzi im przede wszystkim, bo dopóki pływają po Atlantyku, dopóty zwycięstwo będzie naszym udziałem.

W chwili, gdy piszę te słowa (24. maja) walki na Krecie trwają w nieustającej zaciętości. Ponieważ posiłki dosyłane powietrzem nie były wystarczające dowództwo niemieckie zdecydowało próbę desantu, wysyłając wojska na małych kutrach i na łodziach zabranych Grekom. Próba ta na razie skończyła się niepowodzeniem. Lekkie jednostki floty brytyjskiej rozprawiły się z transportem w ciągu paru godzin, zatapiając wszystkie łodzie, nie wyłączając eskortującego je kontrtorpedowca włoskiego. Z górą 4000 Niemców znalazło śmierć w morzu. Jak wygląda całość operacji w tej chwili trudno jeszcze coś powiedzieć.

Radio angielskie uprzedzało publiczność, że w tak ożywionej walce i przy takiej masie niemieckiego lotnictwa nurkującego muszą być spodziewane pewne straty i ze strony sprzymierzonych. W żadnym jednak wypadku straty te nie mogą być takie, jak podaje pan Goebels, według którego na Morzu Śródziemnym Niemcy i (pożal się Boże!) Włosi więcej zatopili okrętów liniowych, lotniskowców, krążowników, kontrtorpedowców, niż w ogóle Brytyjczycy kiedydolwiek mieli na Morzu Śródziemnym.

Trzeba z naciskiem podkreślić, że Admiralicja Brytyjska trzymała się i trzyma systemu bezwzględnej JASNOŚCI i *Prawdy* w komunikowaniu strat w przeciwieństwie do Niemców, których specjalnością jest, łgarstwo. Jeśli więc straty były dowiemy się w swoim czasie o tych stratach z całą pewnością dokładnie i bezwzględnie. Nie zapominajmy jednak ani na chwilę, że taki na przykład lotniskowiec "Royal Oak" w komunikatach niemieckich był zatapiany definitywnie i nieodwolalnie cztery razy.

Wielka bitwa o Suez i Morze Środziemne trwa równolegle do "Bitwy o Atlantyk." I tam i tu roztrzygającym terenem jest MORZE.

.Londyn 24. V. 1941

P.S.

Po napisaniu tygodniowej "Wojny na morzu" nadeszły depesze o bitwie morskiej u wybrzeży Grenlandii (w cieśninie duńskiej pomiędzy Islandią i Grenlandią). W spotkaniu tym brytyjskie krążowniki bojowe stoczyły walkę z najnowszym i najpotężniejszym okrętem liniowym niemieckim "Bismark" (35,000 tonn, 8 dział 15-calowych, 12 dział 5, 9-calowych, 16 dział 4, 1-calowych, 4 samoloty z 2 katapultami, szybkość około 30 węzłów), który możliwie, że był w towarzystwie swego identycznego braciszka "Tirpitz'a" i flotylli mniejszych jednostek. W wyniku pierwszego starcia krążownik bojowy brytyjski H.M.S. "Hood"-największy (jeśli chodzi o tonnaż, nie zaś o uzbrojenie, czy opancerzenie!) okręt wojenny świata, wyleciał w powietrze, trafiony 15-calowym pociskiem "Bismarka" w komorę amunicyjną. (H.M.S. "Hood"—8 dział 15-calowych, 12 dział 5, 5-calowych, 8 dział 4 ca. p.l., szybkość około 31 węzłów, pojemność 42, 100 tonn, 1341 marynarzy załogi.

H.M.S. "Hood," ukończony w marcu 1920 roku, był okrętem wprawdzie pełnowartościowym, jednak typu, którego admiralicja brytyjska postanowiła więcej nie powtarzać. W starciu z najbardziej nowoczesnym okrętem na świecie H.M.S. "Hood," przy nieszczęśliwym zbiegu okoliczności—za jaki musi być uważany fakt trafienia wprost w składy amunicyjne — zginął prawie z całą swoją załogą (O szczegółach tego tragicznego zdarzenia dowiemy się dopiero później).

Komunikat brytyjski donosi, że jednak i "Bismark" doznał poważnych uszkodzeń, a cała eskadra niemiecka zawróciła i śpiesznie popłynęła z powrotem ku wybrzeżom Norwegii.

Komunikat brytyjski z dn. 25. maja wieczorem brzmiał: "Po spotkaniu wczorajszym, które się odbyło na Północnym Atlantyku, siły morskie nieprzyjaciela robią wszelkie wysiłki, aby ujść pogoni. Późnym wieczorem brytyjskie lotnictwo morskie zdołało zaatakować wroga, i w rezultacie najmniej jedna torpeda trafiła nieprzyjaciela. Są w toku, operacje, aby zmusić nieprzyjaciela do bezpośredniego spotkania."

Jak donoszą nieoficjalnie gazety londyńskie, w "polowaniu" na "Bismarka" (a możliwe, że i na "Tirpitza") biorą udział H.M.S. "Nelson" i H.M.S. "Rodney," oraz "parę okrętów liniowych starszego typu." . . "Bismark" ma jeszcze przed sobą drogę, którą może przebyć przy największej szybkości w 40 godzin do baz Norwegii. Jeśli rzeczywiście został trafiony torpedą, szybkość jego może być zmniejszona, a wówczas "Nelson" i "Rodney," oraz "okręty liniowe starszych typów" będą miały szansę dogonić go i zniszczyć.

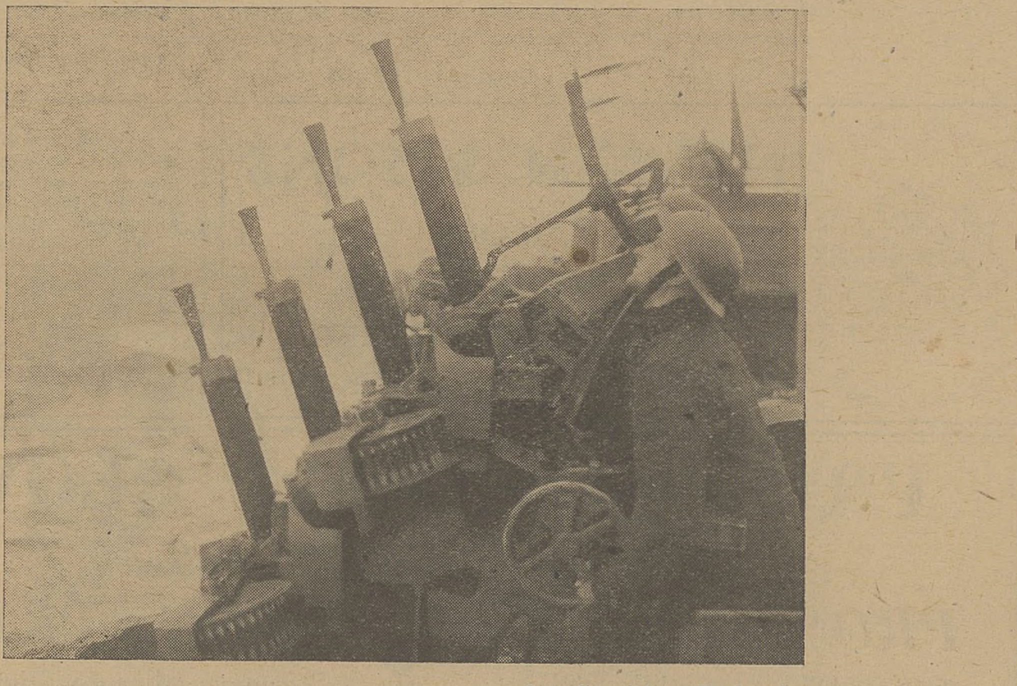
Gdy ten numer "Polski Walczącej" dojdzie do rąk czytelników, może być, iż epizod ten będzie już zupełnie zakończony. Jeżeli jednak tak szczegółowo podaję pierwsze wieści o stracie "Hood'a" i o pościgu floty brytyjskiej za okrętami niemieckimi, to dla tego, by wykazać, że wprawdzie strata jest bardzo bolesna, JEDNAK NIE NALEŻY PRZYWIĄZYWAĆ DO NIEJ ZBYT ZASADNICZEJ WAGI. Przewaga sił morskich Wielkiej Brytanii nie została naruszona. 15 brytyjskich okrętów liniowych nadal stoi wobec 4 niemieckich okrętów liniowych ("Bismark," "Tirpitz," "Gneisenau," "Scharnhorst"). Włosi mają jeszcze 5 okrętów liniowych, lecz "Vittorio Veneto" był napewno unieszkodliwiony w bitwie pod Matapan, gdy dwa inne stoją nadal w dokach i naprawa ich nie prędko się skończy (jak donoszą wywiady lotnicze). "Gneisenau" "Scharnhorst" stoją również w dokach Brestu. Jeśli jednak przyjąć ewentulność, że wszystkie te okręty mają pełną sprawność bojową i nie liczyć, że rozdzielone są geograficznie, to trzeba powiedzieć, że Wielka Brytania posiada obecnie 15 okrętów liniowych na 9 nieprzyjacielskich. W innych zaś typach okrętów przewaga Wielkiej Brytanii pozostaje przytłaczająca.

26 Maja 1941, Londyn.

Bohdan Pawłowicz

P.S. 2-gi.

W chwili oddawania numeru na maszynę doszła nas wiadomość o zatopieniu "Bismarcka." Niech żyje Marynarka Wojenna Wielkiej Brytanii!



fot. Stanisław Rochowicz

Uwaga! Wypatrywać!

Z powodu Zielonych Świąt przypadających w najbliższym tygodniu wydajemy niniejszy numer "Polski Walczącej" w zwiększonej objętości, jako numer podwójny. Następny numer ukaże się z datą 14 czerwca b.r.

Skrzynka pocztowa

Nasz współpracownik, Marian Walentynowicz otrzymał następujący list:

315 Dywizjon Myśliwski R.A.F.
Szanowny Panie

Przeglądając ostatni numer "Polski Walczącej," znalazłem na ostatniej stronie odbitkę rysunku Pana, którą załączam. Rysunek ten-orzeł spadający na zdobycz-natchnął mnie myślą użycia go jako odznaki dywizjonowej.

O ile Szanowny Pan, rozumiejąc naszą ideę, zechciałby uprzejmie zezwolić na użycie jego pracy jako symbolu naszego dywizjonu myśliwskiego—byłbym Panu serdecznie wdzięczny.

Co więcej-ósmielam się prosić o nadesłanie nam omawianego rysunku w formacie i kolorach, zezwalających na odtworzenie go na naszej przyszłej odznace.

Załączam wyrazy poważania i z góry dziękuję wraz z całym Dywizjonem za uwzględnienie naszej prośby.

Dowódca 315 Dywizjonu Myśliwskiego.

* * *

Do Szanownej Redakcji "Polski Walczącej."

Proszę uprzejmie o zamieszczenie w "Polsce Walczącej" następujących paru słów:

Pewna Polka zamieszkała obecnie w Ameryce—U.S.A.—a pochodząca z Podhala, (pow. Nowy Targ, parafia Szaflary) poszukuje względnie prosi kogoś z żołnierzy z tych okolic o podanie swego adresu celem nawiązania bliższego kontaktu. Nie znając jej adresu podaję adres mego znajomego. Pod tym adresem proszę skierować pierwszy list do miłej Podhalanki: Józef Robak, 6, Junior St. West Warwick R.J. U.S.A.

Z poważaniem

Bolek.

Przegląd polityczny

W bitwie morskiej u brzegów Grenlandi zatonął największy krążownik na świecie, brytyjski okręt wojenny "H.M.S. Hood." W walce tej został również poważnie uszkodzony niemiecki największy pancernik 35,000 ton liczący "Bismarck." Strata, jaką poniosła marynarka brytyjska jest poważna i prasa angielska, komentując wszystkie wydarzenia z bezwzględną bezstronnością, nie zamierza temu bynajmniej przeczyć. Ale zwraca się równocześnie uwagę, że ta bitwa u brzegów Grenlandii—niezbyt pomyślna dla floty brytyjskiej — *wywołała większe wrażenie w Ameryce, aniżeli w W. Brytanii.* Dlaczego?

Najpoważniejszym argumentem izolacjonistów i przeciwników wojny z Niemcami w Stanach—*miała być niemożliwość inwazji niemieckiej na drugiej półkuli i w ogóle jakiegokolwiek bezpośredniego zagrożenia Stanów Zjednoczonych.*

" — Jest rzeczą wykluczoną— mówił niedawno na wielkim wiecu izolocjanistów amerykańskich Lindbergh—aby kiedykolwiek zaistniała dla Niemców choćby najmniejsza szansa inwazji terytorium amerykańskiego. Ani ich lotnictwo, ani flota nie może zapuszczać się tak daleko. . . . Wszystkie "niebezpieczeństwa" grożące Ameryce—są wytworem wybujałej fantazji. . . ."

Tymczasem niespełna w trzy tygodnie po tym przemówieniu, powtarzanym w formie "druzgocącego" argumentu w prasie zwolenników "neutralności"— przyszła bitwa, stoczona na wodach Grenlandii, a więc na wodach amerykańskich, bitwa, w której zginął wspaniały brytyiski okręt wojenny. Niemcy przechwalają sią w swych komunikatach, że "opanowali całkowicie sytuację na wodach Grenlandi." Gdyby tak było w istocie, to trudno o oddanie gorszej przysługi izolacjonistom amerykańskim. Bitwa na wodach grenlandzkich stwierdza ponad wszelką wątpliwość, *że Trzecia Rzesza stara się o stworzenie sobie bazy w północnej Ameryce, aby mieć możność szachowania nie tylko Kanady, ale i Stanów Zjednoczonych.* Hitler, wierny tyle już razy wypróbowanej zasadzie otaczania przeciwnika stara się grozić Waszyngtonowi z dwóch stron: od północy, to jest Grenlandii, kraju położonego najbliżej niemieckich baz w Norwegii i od południa, od strony francuskiej Martiniki, zależnej od całkowicie przez Berlin opanowanego rządu w Vichy.

Poza tym nie wolno zapominać, że robota niemiecka i to na olbrzymią skalę, idzie w Meksyku, no i w Japonii. Nadto jest jeszcze jedno niebezpieczeństwo: przez swoje konszachty z Sowietami, Hitler może zagrozić Alasce, posiadłości Stanów Zjednoczonych w północno-zachodniej Ameryce. Niebezpieczeństwo to nie jest bynajmniej pośrednie. Bitwa u brzegów Grenlandii, a więc na wodach amerykańskich, wykazała bardziej przekonywująco aniżeli wszystkie teoretyczne argumenty, że jest to niebezpieczeństwo bezpośrednie.

Jesteśmy najmocniej przekonani, że Niemcy przez ten swój "sukces" dali prezydentowi Rooseveltowi argument, który może zupełnie położyć całą, z takim trudem skleconą, akcję izolacjonistów amerykańskich. Hitler dobija się już do drzwi Ameryki. Walka, którą podjął brunatny kanclerz, jest walką o panowanie nad światem—i dla dobra tego świata należy życzyć, aby doniosłość tego faktu zrozumieli wszyscy Amerykanie, bez wyjątku.

Mamy nadzieję, że to nastąpi o wiele szybciej, aniżeli się przypuszcza. Argumenty, którymi operuje piąta kolumna amerykańska, spekulująca na naiwności niektórych, skąd inąd bardzo przyzwoitych polityków i dziennikarzy w Stanach—są co raz słabsze. W ostatnich czasach musiano wracać do pomocy Hessa, interpretując jego ucieczkę, jako dowód, że są w Trzeciej Rzeszy nawet czołowi hitlerowcy, którzy "pragną sprawiedliwego pokoju." Otóż jeszcze raz trzeba z całym naciskiem zaznaczyć, że cała ta akcja, mająca na celu wmówienie w społeczeństwo anglo-saskie, że Hess został przysłany przez Hitlera — *jest jedną bzdurą więcej, za pomocą której piąta kolumna usiłuje na swoją korzyść dyskontować wielki skandal nazistowski.* Hess, Führer nr. 2.— znał wszystkie tajniki zarówno polityczne jak i wojskowe Trzeciej Rzeszy. Wiedział o prawdziwych zamiarach i planach hitlerowskich w odniesieniu do Rosji i do Włoch. Wiedział o prawdziwych nastrojach w niemieckim społeczeństwie i niemieckiej armii. Wiedział o wszystkich planach inwazyjnych, które Hitler ma podjąć zarówno przeciwko Anglii, jak i przeciwko Turcji. Otóż: było by wprost śmiesznie—dziecinne przypuszczenie, *żeby właśnie takiego człowieka wysyłał Führer do twierdzy swych największych wrogów, notabene walczących również o swój byt lub niebyt.*

Na Krecie podjęli Niemcy pierwszą próbę inwazji na wyspę, bardziej oddaloną od brzegów Grecji, aniżeli Anglia od brzegów Francji. Piszemy o tej próbie, albowiem ma ona duże również znaczenie polityczne. Gdyby atak niemiecki powiódł się—wówczas propaganda nazistowska zdobyłaby bardzo poważny atut w celu podważania ducha i filobrytyjskich nastrojów w całym świecie.

— *Patrzcie*—mówiono by—*zapora morska nie zabezpiecza już Anglii. Zdołaliśmy ją przełamać i mimo floty, opanować wyspę przez masowe użycie lotnictwa.*

Piszemy te słowa w chwili, kiedy walka o Kretę trwa ale przebieg jej bynajmniej nie wydaje się potwierdzać nadziei niemieckich. A należy zwrócić również uwagę, że Niemcy mają na tamtym odcinku *wyjątkowo korzystne warunki ataku.* Flota angielska zajęta jest strzeżeniem brzegów Afryki Północnej, tak samo lotnictwo brytyjskie zaangażowało się w walkach nad Cyrenajką i Egiptem. Poza tym trzeba najbaczniejszą uwagę zwracać na granicę syryjską oraz Irak. Tymczasem Niemcy zmasowali w południowej Grecji ogromną ilość samolotów nie tylko bojowych, ale i transportowych, które mogą przerzucać na wyspę, niemal zupełnie pozbawioną środków komunikacyjnych—duże ilości ludzi w pełnym uzbrojeniu. Oddziały te mogą opanować najważniejsze punkty i rozpocząć akcję, która przy olbrzymiej przewadze sił powietrznych powinna mieć wszelkie szanse powodzenia. Jak dotychczas jednak, mimo tych wszystkich, najdogodniejszych warunków, nie uzyskali Niemcy nigdzie większego sukcesu, przeciwnie, straty ich są bardzo poważne. W bitwie tej, trwającej już tydzień, zwycięstwo zdaje się chylić na stronę angielsko-grecką.

Sytuacja w Syrii jest w dalszym ciągu poważna ale okazuje się, że Niemcy licząc na całkowite poddanie wojsk francuskich—przeliczyli się. Wprawdzie nie brak ludzi, wykonywujących ślepo rozkazy Darlana i tego nieszczęsnego rządu w Vichy, *ale co raz częściej zdarzają się fakty bardzo gwałtownej reakcji przyzwoitych oficerów francuskich, mających prawdziwe poczucie żołnierskiego honoru, którzy gromadnię przechodzą do armii de Gaulle'a.* Armia ta, prawdziwa armia Francji i wolności, którą ta Francja zawsze uosabiała—wzrasta bardzo szybko, mimo, że rząd w Vichy, pod naciskiem niemieckim, wydaje wyroki śmierci na tych żołnierzy, którzy śpieszą pod sztandary honoru i godności Francji.

Nie jest zupełnie wykluczone uznanie armii i rządu de Gaulle'a za prawowity rząd francuski, zarówno przez Wielką Brytanię, jak i przez Stany Zjednoczone. Generał de Gaulle, któremu od pierwszej chwili przybycia do Anglii towarzyszyły najlepsze życzenia polskiezaczynał swą akcję w lipcu 1940 dosłownie z kilkoma ludźmi. *Dzisiaj ma pod swoimi rozkazami kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy, dla których nie ma innej drogi, jak tylko zwycięstwo lub śmierć.* Są to ludzie, którzy śpiesząc pod sztandary wolnej Francji ryzykowali życie swoje i swoich rodzin. Są zdecydowani na wszystko—i pełni najlepszej myśli. Wierzymy głęboko, iż jeszcze raz sprawdzą się słowa, że "co wszczęła rozpacz —to dokona męstwo." Kolegom z pod znaku de Gaulle'a życzymy z całej duszy zwycięstwa, gdyż silna i wolna Francji jest niezbędną dla utrzymania równowagi, pokoju i bezpieczeństwa Europy.

Przed okresem wielkich deszczów padła Abisynia. Ks. Aosta, głównodowodzący armią włoską, zachował się przyzwoicie. Swoich żołnierzy nie rzucił, przeciwnie, z Rzymu, dokąd go wezwał Mussolini, przyleciał z powrotem do Abisynii. I przejdzie do historii, jako wódz wprawdzie nieszczęśliwy, ale gentleman. Uznali to Anglicy, przyznając mu honorowe warunki poddania. Duża armia brytyjska, zahartowana w walkach środkowo-afrykańskich, jest już wolna i gotowa do użycia na innym odcinku. Będzie to miało duże znaczenie dla przebiegu dalszych operacyj militarnych, łączących się najściślej z wydarzeniami politycznymi.

tk



Romulus i Remus — *rys. Jerzy Faczyński*

SPIS RZECZY

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. V-e piętro.
Redaktor przymuje w soboty od godziny 11-ej-13-ej.

Warunki prenumeraty: Miesiecznie z przesyłką pocztową—sh. 1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh. 3. Należność posimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam sh. 10 0d. bez względu na stronę, drobne ogłoszenia— sh.5 0d. za 1 cal. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy i osób 50% taniej.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506. Adres Agenta dla ogłoszeń angielskich (Advertisement Offices) 415, Oxford Street, W.1. Tel., MAYfair 4973.

Printed for the "Polska Walcząca" by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.